

● NATURA NASZEJ OBECNOŚCI

Zygmunt Mikulski

● Napięty „Łucznik”

Aleksander Jański

● Przysieckie Stawy

Wojciech Roszewski

● LUBELSKIE OGRODY I PARKI

Bożena Siedlecka

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENIA

LUBLIN 21 IX 1975 NR 19 (583)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

STARE KŁOPOTY -

NOWY SOJUSZNIK

Maciej Podgórski

Kiedy człowiek otrzymuje mieszkanie spółdzielcze w nowym osiedlu, to początkowo odczuwa coś na kształt permanentnej i dogłębnej szczęśliwości, która mu przesyła świat cały. Taka sytuacja częściowo trwa jeszcze w trakcie heroicznego biegu za meblami, kinkietami, żyrandolami, zasłonami i dywanami. Dopiero potem lokator-nuworysz spostrzega, że ściany mu „marglują”, parkiet „wstaje”, a stolarka okienna cieknie. Że teren osiedla przypomina krajobrazy pól bitewnych, rozorane, zarzucone żelastwem. Że w osiedlu brak sklepów, przedszkola, przychodni, pralni i fryzjera. Oczywiście — nie wszędzie tak jest, ale tak bywa jeszcze zbyt często.

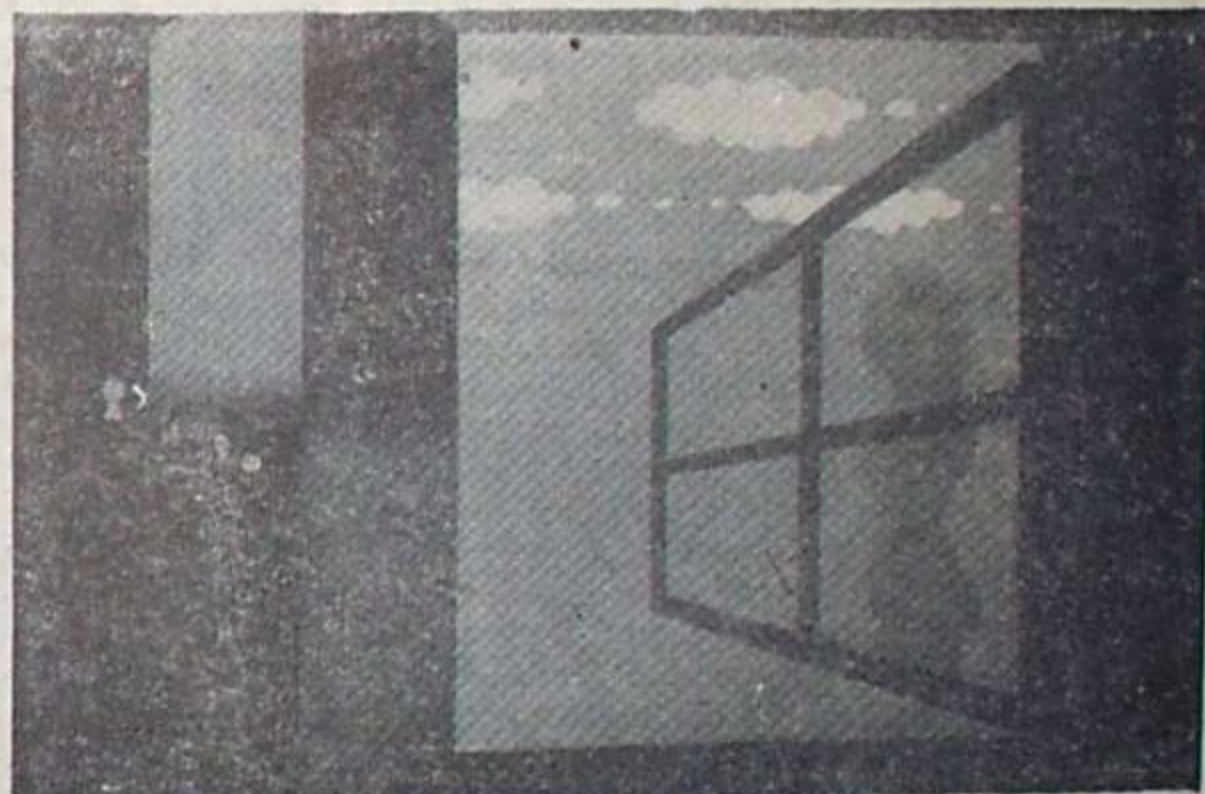
DRUGI już rok uczą się dzieci w szkole podstawowej nr 38 w osiedlu im. Sienkiewicza Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Szkoła została przekazana do użytku z nieczynną, bo niewykończoną, salą gimnastyczną, bez boisk i uporządkowanego terenu wokół. Drugi rok szkolny powitały dzieci w takich samych warunkach, tyle że w otwartej chwilowo, choć nadal niewykończonej, sali gimnastycznej i przy akompaniamencie pracy spychacza, niwelującego okoliczny krajobraz księżycowy. Gdybym był uczniem tej szkoły, to mógł-

bym pomyśleć, że tak już być musi, a życie człowieka powinno przebiegać w atmosferze nieterminowości i niesolidności.

Blisko rok przedłużane były terminy oddania do użytku przedszkola w „starym” już i nieźle zagospodarowanym osiedlu Piastowskim. Sam słyszałem, jak przedstawiciel generalnego wykonawcy, dyrektor naczelny Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, Zenon Folta, w obecności zainteresowanych określał

Dokończenie na str. 8-9

ZYGMUNT CZYŻ: „Otwarte okno II” — linoryt barwny. Patrz str. 13 — „Okolice sztuki”



OGRÓD

Marek Berger

TELEGRAM

ja atom
otoczony dwojakimi atomami
zbudowany z atomów
znający tylko atomy
(wiem jeszcze o
protonach elektronach i neutronach)
upominam się o uczucia
stratowane przez pochód atomowy

Dalsze wiersze grupy poetyckiej „Ogród” na str. 6.

PROWINCJA TEATRALNA DAWNIEJ

Stefan Kruk

OZYCIU aktorów w XIX wieku pisano już niejednokrotnie. Zwłaszcza literatura była uwrażliwiona na problematykę ciężkiego losu artystów teatru. Powstało wówczas wiele sztuk na ten temat (m. in. „Aktor” G. K. Norwida) oraz utworów prozatorskich ze świetną „Komediantką” W. S. Reymonta na czele. A mimo to o doli aktorów, zwłaszcza prowincjonalnych, nadal wiemy mało. Niechaj ten artykuł będzie skromnym przyczynkiem w tym zakresie. Najcenniejszym materiałem analitycznym są oczywiście relacje samych zainteresowanych. Pamiętniki

aktorów przekazały nam wiele takich wstrząsających wydarzeń, wystarczy przypomnieć głodowe dni Solskiego, który długo czekał w Warszawie w 1876 r. bez środków materialnych na engagement u Trapszy, lub głodówkę wielkiego tragika Jana Krótkowskiego debiutującego w Lublinie w 1836 r. Pragnę zatrzymać się na dwóch innych wypowiedziach o, jak się zdaje, niepoślednim znaczeniu. Są to relacje dyrektorów zespołów prowincjonalnych, którzy, z różnych zresztą przyczyn, pisali do prasy obszerne listy przekazujące nam ważne wiadomości o sytuacji aktorów w Kró-

lestwie Polskim. Obydwie wypowiedzi pochodzą z 1878 r. Pierwszą, wysłaną z bliżej nie określonego miasta gubernialnego, zamieściła „Biesiada Literacka” i przedrukowała „Gazeta Lubelska”, drugą, nadesłaną z Lubartowa, odnotował już tylko organ lubelski. Przy czym ważne jest, że relacje te nie dublują się, że przeciwnie — wzajemnie się uzupełniają.

Różni obydwie wypowiedzi ton i nastrój, o ile bowiem pierwszą pi-

Dokończenie na str. 12

8 GRUDNIA - VII ZJAZD PZPR

8 GRUDNIA br. rozpoczyna obrady VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Decyzja w tej sprawie zapadła na XVIII Plenum KC, które przedyskutowało i zatwierdziło Wytyczne KC na VII Zjazd. Dokument nosi znamienity tytuł: „O dynamiczny rozwój budownictwa socjalistycznego — o wyższą jakość pracy i warunków życia narodu”. Wytyczne otwierają ogólnopartyjną i ogólnonarodową dyskusję. Jest rzeczą niezmiernie ważną — podkreślił Edward Gierek na XVIII Plenum KC — aby dyskusja ta była jak najszersza, aby wychodząc z aktualnej oceny sytuacji politycznej i ekonomicznej w świecie oraz zadań, jakie staną przed Polską, ogarnęła wszystkie problemy teraźniejszości i przyszłości naszego kraju, aby pobudzała inicjatywę klasy robotniczej, chłopów, inteligencji, kobiet i młodzieży, całego narodu.

Wytyczne szczegółowo omawiają wyniki realizacji uchwał VI Zjazdu PZPR, który odbył się prawie przed czterema laty. Program VI Zjazdu został skorygowany wzywając przez I Krajową Konferencję Partyjną w szczególności w sprawie najważniejszej — wydajnej poprawy materialnych i kulturalnych warunków życia ludzi pracy i ich rodzin. Jak stwierdził Edward Gierek: *Dorobek ostatnich lat jest widoczny i odczuwalny w pracy i życiu ludzi, w rozwoju naszych ośrodków przemysłowych, miast i wsi, a także w ogólnej atmosferze jaka powstała w ostatnich latach w naszym społeczeństwie. Jest to atmosfera wiary we własne siły, wysokich ambicji twórczych, satysfakcji z dynamicznego rozwoju ojczyzny, optymizmu na przyszłość.*

A przecież osiągnięcia nie przyszły łatwo. Zwraca na to uwagę „Trybuna Ludu” pisząc: *Osiągnięte w realizacji programu VI Zjazdu wyprzedzenia i przekroczenia mają wartość tym większą, że wypracowaliśmy je w zmaganiach z trudnościami. Szybki rozwój kraju (...) obciążonego niemalym brzemieniem opóźnień, problemów nie rozwiązanych i potrzeb nie w pełni zaspokojonych, stale przy tym rosnących, nie może ze swej natury być procesem łatwym. Wysoka dynamika, z której partia uczyniła zasadniczą metodę rozwiązywania złożonych problemów budownictwa socjalistycznego, sama z siebie rodzi wiele zagadnień do rozwiązania. W dwóch ostatnich latach — o czym szeroko mówił na XVIII Plenum tow. Piotr Jaroszewicz — stanęliśmy ponadto wobec trudności spowodowanych wstrząsami w międzynarodowym życiu gospodarczym i na rynkach światowych oraz wobec skutków wpływu gorszych warunków klimatycznych na rolnictwo polskie. (...) Trudności te nie stały się, jak to bywało w przeszłości, motywem obniżania społecznych i rozwojowych założeń planu 5-letniego, lecz są bodźcem do wzmocnionych starań o utrwalenie wysokiej dynamiki rozwoju gospodarki i skuteczne rozwiązywanie zadań społecznych.*

O tym, cośmy w ciągu ostatnich lat osiągnęli, szczegółowo mówią Wytyczne. Warto tu przypomnieć, że w latach 1971—1975 przyrost majątku trwałego wyraża się kwotą blisko 1,4 biliona złotych, prawie dwukrotnie większą niż w latach 1966—1970. Podkreślenia wymaga szczególnie duży, bo wynoszący ponad 60 proc., wzrost wartości majątku

trwałego w przemyśle; jego udział w ogólnej wartości majątku trwałego całej gospodarki zwiększył się z 24 proc. w 1970 r. do około 29 proc. w 1975 r. Nasz przemysł staje się coraz bardziej nowoczesny. W oparciu o aktywną politykę zakupu licencji rozbudowano i gruntownie modernizowano przemysł: elektromaszynowy, lekki, spożywczy i materiałów budowlanych. Równocześnie w całym przemyśle z większym rozmachem rozwijano własne prace naukowo-badawcze i wdrażano ich wyniki. Prowadzono dalekowszoczną politykę szybkiego rozwoju i modernizacji górnictwa węglowego (Lubelskie Zagłębie Węglowe), energetyki i hutnictwa. Wielkie nakłady przeznaczono na wydobycie miedzi, siarki i innych surowców mineralnych.

Będziemy aktywnie — mówił Edward Gierek na XVIII Plenum KC — inwestować w rozwój przemysłu również i w przyszłości. Decydującą jednak sprawą staje się obecnie pełne wykorzystanie dotychczas poczynionych nakładów i rozwinięcie w oparciu o nie odpowiednio nowoczesnej, wielkoseryjnej, efektywnej ekonomicznie produkcji. Jest to główne zadanie...

W ciągu pięciu lat dochód narodowy wzrósł o 62 proc. Produkcja przemysłowa została zwiększona o 73 proc., zaś produkcja rolna o 27 proc. Tak dynamicznego rozwoju jeszcze nigdy w naszym kraju nie było.

Oczywiście wszystko to, czego w nlemałym trudzie dokonujemy, ma służyć i służy człowiekowi, bowiem nadrzędnym celem naszej polityki społeczno-gospodarczej jest dalsza poprawa warunków życia ludzi pracy.

Wytyczne i w tym względzie zawierają szereg danych. Średnia płaca w gospodarce uspołecznionej, która w 1970 r. wynosiła 2235 zł, w 1975 r. osiągnie ok. 3500 zł. Średnia płaca realna wzrastała dwukrotnie szybciej niż przewidywały to założenia planu i w 1975 r. kształtowała się będzie na poziomie o ok. 40 proc. wyższym niż w 1970 r. Od stycznia 1976 r. wszyscy pracownicy gospodarki uspołecznionej będą otrzymywać płace bez potrącania podatków od wynagrodzeń i składki na cele emerytalne. Wzrost produkcji rolnej i podwyżki cen skupu spowodowały też zwiększenie dochodów rolników w skali zbliżonej do wzrostu płacy realnej w gospodarce uspołecznionej.

W gospodarce uspołecznionej stworzono w mijającym pięcioleciu 1850 tysięcy nowych miejsc pracy. Wraz z miejscami zwolnionymi przez odchodzących na emeryturę dało to zatrudnienie 3 milionom osób.

Jest faktem bezspornym i niezwykle ważnym w odczuciu społecznym, że w bieżącym pięcioleciu ceny podstawowych artykułów żywnościowych były utrzymywane na niezmiennym poziomie, mimo podniesienia cen skupu, a także znacznego wzrostu cen płaconych za importowane zboże, pasze i inne produkty rolne.

Polepszyło się zaopatrzenie rynku w dobra trwałego użytku, rozszerzył się asortyment towarów, poprawiła się ich jakość i przystosowanie do gustów konsumentów.

Nie we wszystkich jednak dziedzinach produkcja nadążyła za wzrostem zapotrzebowania. Dotyczy to — jak podkreślił Edward Gierek — w szczególności mięsa i przetwo-

rów mięsnych. W ciągu obecnego pięciolecia ich spożycie w przeliczeniu na jednego mieszkańca wzrosło o przeszło 17 kg, to jest dwukrotnie szybciej, niż zakładaliśmy na VI Zjeździe. Mimo wszystkich środków, jakie zastosowano, produkcja, a tym samym zaopatrzenie w te artykuły, jest niewystarczająca. Ostatnio ponownie zostały podniesione ceny skupu mięsa, mleka i niektórych innych artykułów rolnych, by stworzyć warunki dla dalszego wzrostu ich produkcji. (...) Innym ważnym problemem, na którym koncentrować powinniśmy naszą uwagę w przyszłym pięcioleciu, jest problem mieszkaniowy. Zbudujemy w latach 1971—1975 przeszło 1125 tys. nowych mieszkań o wyższym standardzie i większym metrażu. Musimy zbudować jeszcze co najmniej dalszych 2 mln, aby rozładować główne trudności i skrócić przeciętny czas oczekiwania na mieszkanie. W projekcie Wytycznych — po dokładnym wyliczeniu wszystkich możliwości — proponujemy zbudowanie w przyszłym pięcioleciu przeszło 1500 tys. mieszkań. Pragnęlibyśmy zbudować więcej niż planujemy i uczynimy to, jeśli w toku realizacji nowego planu powstaną po temu dodatkowe możliwości.

Wytyczne po dokładnym zbilansowaniu naszych osiągnięć przedstawiają cele i zadania dalszego rozwoju społeczno-ekonomicznego. Zasadniczym celem polityki społeczno-ekonomicznej będzie dalsza, systematyczna poprawa materialnego, społecznego i kulturalnego poziomu życia społeczeństwa. Plan jest otwarty, podatny na inicjatywę, aktywność, wydajniejszą pracę i osiąganie lepszych wyników. We wszystkich dziedzinach chcemy postawić na jakość. Podniesienie jakości pracy i życia narodu oznaczać musi wzrost skuteczności działania na każdym stanowisku. Nasza gospodarka ma coraz więcej nowoczesnych maszyn i urządzeń, dzięki nim, dzięki ludziom, którzy przy nich pracują, wytwarza każdego dnia surowce, materiały, środki produkcji i wyroby rynkowe wartości 5 miliardów złotych. Każda stracona godzina, minuta powoduje niepowetowane szkody.

W naszych publikacjach będziemy prezentować Wytyczne KC, zwracając uwagę na wybrane problemy, głównie dotyczące sfery społecznej i kulturalnej.

W sferze kultury — stwierdzają Wytyczne — socjalizm przeciwstawia swój aktywny humanizm i optymistyczną wizję rozwoju ludzkości nastrojom zwątpienia i niewiary, cechującym kulturę kapitalizmu i odzwierciedlającym stan duchowego kryzysu, jaki rodzi ten ustrój. Partia jest żywo zainteresowana w tym, aby twórcy kultury trafiali do coraz bogatszej duchowo i coraz bardziej wymagającej rzeszy czytelników, widzów, słuchaczy. Wspólnym obowiązkiem partii i twórców jest troska o socjalistyczną, humanistyczną treść naszej kultury narodowej, o jej kształt ideowy, zgodny z pryncypiami naszego ustroju, z najlepszymi tradycjami polskiej literatury i sztuki.

Na pewno w tej dziedzinie jest jeszcze wiele do zrobienia. Sądzymy, że wysiłki zespołu redakcyjnego zostaną poparte przez aktywny kulturalny. Każdą inicjatywę mile powitamy.





CI, którzy byli skłonni wyolbrzymić antagonizmy między obu miastami, czują się może teraz zawiedzeni. Usamodzielnienie Radomia nie spowodowało zerwania silnych powiązań z Kielcami. Przeciwnie, wydaje się, że właśnie teraz mogą one okazać się bardziej naturalne, ponieważ ukryte animozje nie mają się więcej czym karmić, a skrywane ambicje zostały zaspokojone jednoczesnym dla całego kraju cięciem operacyjnym nowego podziału administracyjnego. Złośliwi szycią, trawestując Gałczyńskiego: Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie, chcieliście władzy, no to ją macie! Radom zawsze stał przemysłem, dobrym handlem, rzemiosłem i to były, a także będą, jego czynniki miastotwórcze. 173-tysięczne miasto ukształtowało się na zdrowych podstawach. Przemysł rodzi przemysł, dyktuje rozwój ośrodka, potrzebę mieszkań, przedsiębiorstw budowlanych, które wzniosłyby hale fabryczne dla Wytwórni Telefonów i Zakładów Metalowych im. gen. Waltera, gdy tymczasem nowe władze wojewódzkie muszą sprowadzić sporo specjalistów różnych dziedzin, których potrzebuje teraz nowy organizm administracyjny. Podobnie inne placówki tego okręgu. Niejeden przydział mieszkania zostanie więc przesunięty na nieco później, niejedna inwestycja nie znajdzie się w planie najbliższej pięcioletki, a przybędzie inna, potrzebna już dziś. Prawie nic nie można w tej dziedzinie dokonać dodatkowo, a jedynie w zamian. Ale chwilowe koszty awansu trzeba ponosić.

W sumie jednak mogłem zaobserwować moralną satysfakcję radomian z tego, że ich miasto staje się na nowo, po dziesięcioleciach, centrum województwa, chociaż menażery przemysłu zdają się być na te subtelności dość obojętni. O inne sprawy chodzi np. w „Telefonach” i „Łuczniku”. Otworzyły się wielkie możliwości ekspansji eksportowej na cały niemal świat i trzeba im sprostać. Ten ostatni producent — Zakłady Metalowe — jest jubilatem, bo właśnie w tym roku, we wrześniu, przypada półwiecze jego powstania. Zakłady ukształtowały się w ramach największego, obok Gdyni, międzywojennego przedsięwzięcia gospodarczego, jakim był Centralny Okręg Przemysłowy. COP okazał się jednak tylko wstępem do tego, co zaznaczyło się pełnym kształtem dopiero po drugiej wojnie, a ostatnio dopełniło wybudowaniem na Gołębiewie wytwórni maszyn do pisania, czynnej w pełni zaledwie od pół roku. Do końca czwartego kwartału tę nowoczesną fabrykę ma opuścić aż 50 tys. maszyn ze zwykłym i dłuższym walkiem, a także 2.500 informacyjnych maszyn elektrycznych. Te ostatnie są jeszcze montowane na zespolach szwedzkiej firmy „Facit”, na której licencji wspierają się wszystkie typy. Stopniowo zastępują je częścią własnej produkcji, ale i to włączy się z realizacją dalszych inwestycji na Gołębiewie. Połowa radomskiej produkcji jest już eksportowana. Polskie maszyny do pisania chętnie są kupowane — oczywiście w różnych wersjach alfabetycznych — w Wielkiej Brytanii, USA, RFN, a w małych ilościach także w innych krajach, nawet w odległym Nepalu.

Tyle dowiedziałem się zaraz na wstępie w dyrekcji zakładu. Reporter mógłby ugiąć się pod takim bagażem sukcesów jubilat (i to już w pierwszym roku produkcji), ale równocześnie ma w pamięci listy przychodzące do redakcji, reklamacje u handlowców, opinie maszynistów. Są skargi na skomplikowane użytkowanie tej biurowej maszyny

do pisania, głównie w związku z funkcjonowaniem licznych hebelków w okolicach walka. Rzadziej zdarzają się pochwały, zresztą natura ludzka taka już jest, że na dobre zwraca mniej uwagi. Nawet zrozumiałe, bo dobry towar, sprawne narzędzia powinno uważać się za normalne, nie wymagające uznania. Dopiero coś super... Pogląd ten podziela zastępca dyrektora naczelnego do spraw technicznych, inż. Wiesław Kunc. Zarówno maszyny do szycia, jak i elementy układów pneumatycznych mają krajowe i międzynarodowe znaki jakości. Załoga i dyrekcja czerpią z tego satysfakcję, ale nie wynoszą tych uczuć ponad miarę. Urządzenia muszą być możliwie najlepsze, a konkurencja światowa jest ogromna. Tak, wielu użytkowników twierdzi — kontynuuje inż. W. Kunc — że na maszynie do pisania „Facit” inaczej się pisze, napotyka się na pewne trud-

dukcją taśm do pisania i nici. Po prostu nie mamy dobrych nici i taśm! Część niezadowolonych należałoby zwrócić w stronę ich wytwórców. Nasz Ośrodek Badawczo-Rozwojowy także czyni wiele, abyśmy byli wciąż nie tylko nowoczesniejsi, ale i lepsi w tym, co wytwarzamy, także dla krajowego rynku.

Takie są fakty i kontrargumentacje, trzeba przyznać, że przekonywujące. Licencje zakupiono u znanych firm, dają one nie tylko aktualną nowoczesność, ale i dobre przygotowanie do dalszego rozwoju. Konstrukcja i technologia wytwarzanych tu maszyn i urządzeń pomogła zakładzie Zakładów Metalowych im. gen. Waltera w uzyskaniu kilku korzystnych wyników. Przede wszystkim zamiast wytwarzać np. jedną maszynę do szycia „Łucznik” przez 20 godzin, „Singera” robi się w ciągu ośmiu. Także materiał wyjściowy jest przy tej ostatniej

NAPIĘTY „ŁUCZNIK”

Aleksander Jański

ności w jej obsłudze. Dotąd sprowadzaliśmy maszyny z Czechosłowacji i przede wszystkim z NRD. Ten kraj nie przyjął w swej produkcji normy międzynarodowej. Nasze rozstawienie w kolejności klawiatury akceptuje cały świat. Np. w niemieckich maszynach cofacz znajduje się po przeciwnej stronie, maszynistki do tego się przyzwyczyły, a teraz trzeba do zmiany przywyknąć, czasem cierpliwość jest wystawiona na próbę. Nasza maszyna jest przecież stabilna, mocna, nie skorzystałoby prawie wcale z plastiku, obudowa jest aluminiowa, a wazy zaledwie 20 dekagramów. Nadal podlegamy bacznej uwadze licencjodawcy, szwedzka firma „Facit” ma już zbyt dobrą markę na świecie i partaczom nie sprzedałaby swojej technologii, nie pozwoliłaby eksportować wyrobu ze złym znakiem. Podobnie zresztą, jeszcze przez nasze babcie znana, amerykańska wytwórnia maszyn do szycia. Co roku na 400 000 sztuk kilku typów maszyn do szycia, obok naszej firmy, wybijamy:



ASSEMBLED IN POLAND UNDER LICENCE FROM THE SINGER COMPANY SINGER IS A TRADEMARK OWNED BY THE SINGER COMPANY AND USED UNDER LICENCE

Jedną trzecią naszego eksportu tych maszyn do szycia sprzedajemy na rynku amerykańskim, a dwie trzecie w innych krajach kapitalistycznych oraz na obszarze RWPG. Jest to inwestycja, podobnie jak „Facit”, jak prasowalnice według technologii zachodniemieckiej firmy „Siemens”, ekonomicznie korzystna. Również z tych obu wytwórni często gościmy fachowców-obszerników, którzy baczą, aby urządzenia produkowane u nas według ich licencji zachowały wysoki standard przynajmniej tak sam, jak w macierzystej fabryce. Dość często przyznają, że nasi inżynierowie, technicy i robotnicy robią to lepiej! Rzecz więc we właściwym użytkowaniu oraz poprawieniu jakości krajowej pro-

o wiele mniejszy. Podobnie — przy produkcji elementów pneumatyki sterującej i siłowej. Nowa wytwórczość spowodowała także zasadniczą modernizację sprzętu (własnymi siłami), choćby obrabiarek.

Zanim jednak „Facit”, „Singer” i Siemens uznają za możliwe sprzedać swoje osiągnięcia konkurencyjne, a przede wszystkim technologiczne Polsce, musiały w naszych fabrykach uznać właściwego i równego sobie na tym etapie partnera. Przecież sama maszyna do pisania wymaga wytworzenia aż 3 tys. części i detali, podobnie jest w pneumatyce i nawet przy produkcji maszyn do szycia. Takim partnerem mógł być tylko zakład z tradycją, zwycięzca konkursu „Dobrej Roboty”, zdobywca „jedynek” oraz międzynarodowych znaków jakości „Q”; takimi właśnie są dzisiejsi jubilat. Oni to mogli np. szybko przejść z obróbki skrawaniem na plastyczną, na odlewnictwo ciśnieniowe i precyzyjne. Teraz nie muszą się obawiać, że ich produkt poddawany od czasu do czasu w Szwecji, USA i RFN szczegółowym badaniom i próbom przez licencjodawców, zgodnie z warunkami umowy, może być zakwestionowany. Tamec muszą uznać, że nie tylko istnieje tzw. jakość „singerowska”, czy „facitowska” albo „siemensowska” — co jest oczywiste — ale, że istnieje już także, coraz częściej w świecie dostrzegana, jakość „łuczniowska” z Radomia. Łucznik, który mierzy na stojącym przed fabryką pomniku z olbrzymiego łuku, strzela więc celnie. Po pięćdziesięciu latach zakłady wcale się nie zestarzały. Przeciwnie.

Kiedy pojedzie się do radomskiej dzielnicy Gołębiewa i zwiedza przepelnioną słońcem i zielenią, kolorową halę, w której wytwarzane są maszyny do pisania, narzuca się nastrój pogodny. Wydaje się, że człowiek znalazł się w gigantycznym zakładzie zegarmistrzowskim. Kobiety i mężczyźni w skupieniu dopełniają wnętrza przyszłych maszyn o nowe części, by w końcu wszystko tu okryła aluminiowa obudowa. Zaciekawia, kiedy będą tu wytwarzane maszyny do pisania z „wejściem” i „wyjściem”, aby mogły współpracować z elektronicznymi urządzeniami obliczeniowymi? Jaką odegrają rolę, jak bardzo zmienią choćby nasz wewnętrzny sposób komunikowania ważnych wyników w gospodarce i urzędach?

Poszerzenie produkcji zależne jest od rozbudowy zakładu. A przecież „portfel” przedsiębiorstw budowlanych jest przepelniony. Nie można na razie do niego niczego dokładać, najwyżej wymienić zlecenia kosztem kogoś, kto także przygotowany jest do rozwoju. Jak jednak utrzymać i rozszerzyć zagraniczne rynki zbytu, jak powiększać produkcję, by odpowiedzieć pozytywnie na wielkie zapotrzebowania, wytrzymać konkurencję, jakościowe współzawodnictwo z renomowanymi firmami? Zagraniczny kontrahent wołają: — Przyślijcie więcej, sprzedamy! Handel wewnętrzny zabiega: — Dajcie do hurtu krajowego, nie będziemy musieli tyle importować, sklepy żądają i „Łuczniaków”, i „Singerów”, i maszyn do pisania. Dajcie! Dajcie więcej! A po tej stronie prawie cisza, szept ledwie, bo ciasnota nie pozwala produkcji rozwinąć jeszcze bardziej. Dopiero rozpoczynająca się za cztery miesiące nowa pięcioletka może coś tu zmienić, nie wyłączając zakładów z dalszych inwestycji. Horoskopy są dobre.

GARMONDEM

WIDOWISKA sensacyjno-kryminalne TV cieszą się bodaj największą widownią w kraju, a przynajmniej takie są potencje tego rodzaju widowisk. Teoretycy gatunku twierdzą, że dobry „kryminal” zawiera obok zagadki, czyli swoistego rebusu

fabularnego — także „żywe mięso” obserwacji obyczajowych. Jednym słowem — od telewizyjnej „Kobry” radzi byśmy dowiedzieć się, jak wygląda zbrodnia po polsku. Tymczasem panowie reżyserzy i scenarzyści od lat karmią nas albo fabułami zaczerpniętymi od zachodnich autorów, co w wykonaniu polskich aktorów i przy udziale rodzimej scenarii oraz

takichże rekwizytów przynosi efekty groteskowe i tandetne, albo jeśli nawet sytuują swe kryminały w Polsce, to cały sztafaż obyczajowy stylizują na modłę anglosaską. Polskie kobiety pracujące i polscy przestępcy poubierani są w jakieś ekskluzywne ciuchy, popijają wyłącznie zagraniczne alkohole itd. Nigdy nie widziałem, żeby

ktos tam pił „czystą”, jeździł „syreną” itd. Myślę że tym sposobem traktuje się widza jako zmęczonego życiem idiotę, który bezwolnie da się ogłupić tandetą w „ekskluzywnym” stylu.

pom

ODPRAWA W KRACZOWIE

Leszek Siemion

Fragment przygotowywanej do druku książki „Na wzgórzach Roztocza”, poświęconej działaniom wojsk tzw. Frontu Północnego na Lubelszczyźnie we wrześniu 1939 r.

PO POWROCIE gen. Kowalskiego od dowódcy armii sztab i DP jeszcze w nocy opracował rozkazy do działania w dniu 22 września. Na krótko przed rozpoczęciem natarcia kiedy oddziały zajmowały postawy wyjściowe, w Rachaniach zjawiał się niemiecki samochód osobowy. Biała chorągiewka na masce z daleka informowała, że samochodem jadą parlamentariusze, więc ubezpieczenia przepuściły go i wskazały miejsce postoju dowództwa. Ekipa niemiecka wzbudziła tym większą sensację, że w to... arzystwie niemieckich oficerów jechali oficerowie polscy w pełnym umundurowaniu. Kiedy samochód zajechał do dworu w Czartowczyku, oprócz Niemców, wysiadło z niego dwóch oficerów sztabu Grupy Operacyjnej „Boruta” — szef sztabu ppłk Krawczyk i oficer wywiadowczy rtm. Dzieślewski. Ten ostatni pozostał przy samochodzie, podczas gdy pozostali zameldowali się u gen. Kowalskiego. Ppłk Krawczyk oddał mu list pisany przez wziętego do niewoli dowódcę 6 DP gen. Monda. List był krótki — gen. Mond zawiada-

miał, że armia „Kraków” skapitulowała i dalszy rozlew krwi mija się z celem.

Kiedy generał czytał pismo, wśród zebranych w pokoju oficerów zrobiło się cicho, jak makiem siał. Dowódca dywizji podniósł energicznie głowę, poszukał wzrokiem dowodzącego ciężkim dywizjonem mjr. Pietrzaka, potem twarzy oficerów niemieckich.

— Zaraz dam odpowiedź. Zrozumiecie ją bez tłumacza! — A potem do Pietrzaka: Panie majorze, niech pan zaczyna!

Dowódca dywizjonu z radosnym pośpiechem wypadł za drzwi i zanim parlamentariusze zdążyli się odmeldować, oknami dworu wstrząsnął ryk haubic. (...)

Speszona ekipa odjechała do Tyszowic, gdzie gen. Przedrzymirski potraktował ją wprawdzie grzecznie, ale równie bezkompromisowo.

Natarcie i dywizji niewiele zyskało w terenie. Na linii Werechanie — Kol. Werechanie — Dzierążnia oddziały niemieckiej 8 dp zorganizowały silną obronę, która przyjęła nacierającą piechotę ogniem wszelkiego rodzaju broni. Odezwała się też niemiecka artyleria, kładąc ogień na rejon Kol. Rachanie i Zwiartów. Baterie polskie, poza haubicami, na razie milczały.

Kol. Werechanie od północy otaczał wschodni cypel lasu sieleckiego, w lesie zaś polscy żołnierze dowódcy nauczyli się szukać schronienia przed

ostrzeliwaniem i bombardowaniem. Gen. Kowalski zaczął obawiać się, żeby widok lasu nie spowodował zmiany kierunku natarcia przez 1 pułk piechoty. Oficerowi swego sztabu, ppor. Sniatyckiemu, polecił przypomnieć o tym dowódcy środkowej kolumny. Podporucznik skoczył na siodełko motocykla, ruszył ostro połą drogą i szybko wpadł na ogon nacierającego pułku. Przyhamował i spytał spotkanego oficera:

— Gdzie pułkownik Kasztelowicz?

— Przed nami na przedzie. — Usłyszał w odpowiedzi.

Pozostawiwszy motor, Sniatycki pieszo przedarł się do czoła rozwiniętego w tyralierę oddziału. Kule świstały tu gęsto, na co dowódca pułku zdawał się nie zwracać żadnej uwagi. Wychylony z płytkiego wozu ominiął lornetką przedpole. Na złożony mu meldunek odburknął tylko:

— Znam cel natarcia, lecz drogę i sposób wykonania zadania wybieram sam. — Był nastroszony i widocznie zły, bo dodał zgrzyliwie: — Może by generał pofatygował się sam i zobaczył jak tu jest.

Dowódca dywizji jakby usłyszał gderanie Kasztelowicza, bo jeszcze przed powrotem Sniatyckiego, wraz z oficerami sztabu podążył śladem 1 pułku. Kiedy grupka ta docierała do Kol. Rachanie nieprzyjaciel położył na niej kolejną nawalę artyleryjską. Jedna z salw upadła tak blisko, że odłamki pocisków zaświstały koło idących oficerów. Szef sztabu ppłk Parczyński został trafiony odłamkiem granatu i upadł w poprzek drogi. Generał pochylił się nad nim i zawołał o podanie opatrunków osobistych, po czym sam zaczął bandażować rannego.

Ppłk Parczyński przywołał oficera operacyjnego, kpt. Pohoskiego, któremu przypadło teraz przejąć funkcję rannego kolegi.

— Prowadź wszystkie sprawy sztabu i wytrwaj do końca...

Zaczął się odzywać nieliczne baterie polskie. Podczas zajmowania przez nich stanowisk ognio- wych powstało trochę kłopotów. W bateriach brakowało kabla łączności. Kiedy lekka bateria zajmowała stanowisko w Rachaniach, za stodołą Jana Wójtowicza, jedna z armat zapadła się w mało widoczny, stary dół po kartoflach. Konie wyciągnęły działo, ale nawet w tym wypadku wyniknęła zwłoka w działaniu. Ogień polskich baterii był słaby, gdyż trzeba było się liczyć z każdym pociskiem. Można więc było strzelać tylko do dobrze zaobserwowanych celów. Przecież o uzupełnieniu choćby jedną sztuką amunicji nie mogło być mowy.

W gęstym ogniu niemieckiej plechoty i artylerii natarcie utknęło. Ppłk Kasztelowicz z pogardą śmierci przesunął się od kompanii do kompanii, rozpoznawał teren i stanowiska nieprzyjaciela. Nie rozkazywał, ale radził niższemu dowódcy, jak mają się dobierać od niemieckich pozycji. A była

POMYŚL założenia ogrodu publicznego w Lublinie powstał w 1828 r. w czasie akcji porządkowania miasta przez Rząd Królestwa Kongresowego. Jego autor, prezes Komisji Województwa — Ignacy Lubowiecki, oparł się na planach pomiarowych wykonanych przez geometrę Ziolkowskiego. Opracowanie zatwierdziła w 1840 r. Komisja Spraw Wewnętrznych. Park zaczęto urządzać nad rzeką Czechówką, między ulicami Lubartowską a Szeroką; pracami kierował ogrodnik Vernier z Puław. Zła lokalizacja — oddalenie od śródmieścia i usytuowanie na podmokłych terenach w pobliżu najbiedniejszych dzielnic żydowskich — zdecydowała o szybkim zaniebdaniu i dewastacji parku.

Tymczasem w 1837 r. inżynier gubernialny Feliks Bieczyński przystąpił do prac nad budową ogrodu miejskiego za rogatkami warszawskimi; zieleń ta należała wcześniej do dominikonów lubelskich. Na falistym terenie, sprzyjającym konstruowaniu dowolnych kompozycji, wysadzono już w pierwszym roku kilka tysięcy drzew i krzewów. Około 1860 r. nazwano ogród na wzór warszawskiego — Salskim. W latach 1887—1890 zbudowano wokół niego murowane ogrodzenie z balustradą i bramą od strony północnej. W 1889 r. urządzono w ogrodzie fontannę.

Równocześnie powstał drugi miejski zieleń. W 1860 r. inż. Feliks Bieczyński zaprojektował osiedle rzemieślnicze i park na Bronowicach dla właściciela tych terenów, M. Koźmińskiego. Niestety, z powodu bankructwa inwestora nie doszło do realizacji planów. Jednakże w kilkanaście lat później, bo już w 1875 r., powstał park na Bronowicach; zaprojektowany przez A. Zwierzchowskiego, a zrealizowany nad rzeką Czerniejówką przez dzierżawcę fofwarku, E. Chruścielewskiego. Popularnie zwany Foksałem, był ulubionym miejscem spacerowym lublinian.

Lubelskie ogrody i parki

Bożena Siedlecka

Niestety, znów fatalne sąsiedztwo — stacja sanitarno-epidemiologiczna a później rzeźnia — zadecydowało o zaniedbaniu. Jednak w 1904 r. Lubelskie Towarzystwo Trzeźwości zbudowało w parku teatr letni, następnie wydzieliło tereny rekreacyjne do jazdy na wrotkach, spacerów na szwedziach itp. W dni świąteczne organizowano tam loterie fantowe i ludowe zabawy taneczne. Obie wojny światowe zniszczyły częściowo obiekt, ale później uporządkowano go i na obszarze 2,6 ha zasadzono nowe, rodzime i egzotyczne drzewa.

Tymczasem powstały nowe ogrody — Ogród Botaniczny w dzielnicy akademickiej i Ogród na Sławinku.

W latach powojennych Lublin powiększył się dwukrotnie, ale zmniejszyły się tereny zielone. Zlikwidowano lasy między obecnymi ulicami Łopacińskiego i Sowińskiego oraz wycięto wiele drzew ulicznych. Koniecznością stało się zharmonizowanie układów urbanistycznych z zieleńcami.

Spróbujmy zobaczyć naszą zieleń w liczbach. Mamy obecnie w Lublinie 63,5 ha terenów zielonych. Parki ogólnomiejskie zajmują w tym powierzchnię 51 ha: Ogród Saski (13,5 ha) Park Ludowy (31 ha) i Ogród Botaniczny (6,5 ha) w miasteczku uniwersyteckim. Pozostała powierzchnia to parki dzielnicowe i skwery: na Bronowicach, Węglinie, przy Placu Litewskim, na Podzamczu i w Osiedlu Mickiewicza LSM. Podczas gdy najnowszy wskaźnik normatywny urabianizacji wymaga 17,8 m

kw. powierzchni zielonej na mieszkańca, a średnia krajowa wynosi 10,7 m kw., w Lublinie mamy 2,4 m kw. na każdego statystycznego obywatela. Według normatywnów musielibyśmy mieć w mieście 620 ha terenów zielonych...

Smiałe plany architektów z pracowni urbanistycznej Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska przy Urzędzie Miejskim zakładają w przyszłości podwyższenie normatywnów zieleni. Barbara Szymczak, jedna z głównych projektantek lubelskich parków, proponuje nowe, ciekawe rozwiązania. Projektowane parki ogólnomiejskie wraz z już istniejącymi dadzą w sumie 380 ha zieleni. W tym: „Kalina” — 40 ha, „Centralny” 102 ha, „Rusalka” — 34 ha, „Ludowy” — 31 ha, „Wyścigi” — 70 ha, „Wrotkowski” — 104 ha. Trzy projektowane parki dzielnicowe („Rury” — 40 ha, „Czuby” — 48 ha, „Czechów” — 23 ha) oraz dwa parki leśne („Dąbrowa” — 500 ha, „Stary Gaj” — 450 ha) teoretycznie powiększą teren zielony Lublina do 1442 ha. Teoretycznie, bo przecież „Dąbrowa”, i „Stary Gaj”, stanowiące prawie 2/3 wszystkich powierzchni zielonych, zajmują tereny znacznie oddalone od centrum miasta. Ze względu na swoje położenie nie będą mogły być miejscami codziennych spacerów.

Rozległy Park Centralny powstanie między głównymi trasami komunikacyjnymi Lublina. Południowo-zachodnią granicę wyznaczy mu zielona trasa spacerowa wzdłuż Bystrzycy. Ze

wschodu, w rejonie Podgrodzia, ograniczać go będzie skarpa śródmiejska, a z północy trasa W-Z. Oddzielony od dzielnic mieszkaniowych trasami komunikacyjnymi, będzie filtrował wszystkie ich zanieczyszczenia. Okalać go będą osiedla: Śródmieście, Stare Miasto, Kalinowszczyzna i projektowany zespół mieszkaniowy Stare Bronowice. Ośią kompozycyjną Parku Centralnego stanie się ciąg pieszy prowadzący od strony Starego Miasta do stadionu centralnego, który ma zostać zbudowany w miejscu ogródków działkowych. Projektuje się także trasę ze Starego Miasta do osiedla spółdzielczego „Motor” i w kierunku Dworca Północnego. Bulwar nad Bystrzycą, będąc spacerowym ciągiem z Kalinowszczyzny, poprowadzi nas aż do Zemborzyc.

Całość parku została podzielona na trzy sektory. W sektorze kultury znajduje się Zamek, wystawy zieleni na Podzamczu, klub młodzieżowy, namioty cyrkowe oraz palmiarnia z akwariem i salami wystawowymi. Wzdłuż głównej alei rozciągnie się teren wytworowo-kiermaszowy; przewidziane są tu stałe pawilony dla ekspozycji artystycznych. Odrestaurowany młyn Krauzego zaadaptuje się na muzeum techniki. Największe miejsce, bo prawie połowę parku, zajmie sektor sportowy, głównym jego punktem stanie się stadion centralny, zaprojektowany na 50—70 tys. miejsc, wraz z ogromnym zapleczem sportowym. Spacerową częścią tego sektora dojdziemy do terenów gier w mini-golfa i wypożyczalni sprzętu. Niedaleko śródmieścia przy ul. Szy-

LUBELSKA GRUPA POETYCKA

OGRÓD

Istniejąca od roku w Lublinie grupa poetycka „Ogród” obejmuje twórców wielu profesji. Członkowie „Ogrodu” oprócz poezji uprawiają malarstwo i fotografię, ba nawet wśród manifestacji zespołu istnieją te, które realizują się w dźwięku i ruchu. Wspólnym mianownikiem tych przedsięwzięć jest dążność do porozumienia z odbiorcą na zasadzie założeń humanistycznych i w zakresie współczesnego tematu. Sami członkowie grupy tak określają rodzaj swej artystycznej orientacji: „człowiek, jasność optymalna, obecność”. Swoje spotkania z publicznością chętniej nazywają „zdarzeniami”, aniżeli wieczorami autorskimi. W Jakubowicach Murowanych wystąpili z recytacjami wierszy, kilka razy zaprezentowali poezję w Domu Kultury RDM w Lublinie, na zaproszenie klubu „Perspektywy” przedstawili swoje utwory w Krakowie, gościli w galerii „Labyrinth” i Klubie Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia „Pax”.

Sławomir Skop
Lech Przychodzki

HYMN ÓSMEJ GALAKTYKI

O,
abj
dotrzeć do kraju
o którym
opowiadam trzeba
na zimę pożyczyć sen
od motyla w kwietniu
zbudzić się do
ostatniego
lotu to będzie lot w
czasoprzestrzeni
ósmej galaktyki

zdecydujcie się ze
mną na podróż do
nikąd dostaniecie
do rąk kwiaty niebo
weźcie sami z kaluż
po pierwszym
deszczu niebo weźcie
po to by porównać
je z niebem
ósmej galaktyki zanim
podpiszecie ankietę
personalną i niebacznie
określicie swój gatunek
jako myślący

3.
pociąg osobowy
najmowo toruń główny
przez jabłonowo pomorskie
rozmowa ze śmiercią
w każdym przedziale odsuwasz
drzwi wchodzisz
razem z ósmą
galaktyką ciekawości
wynoszą cię zadowolonego
z wyniku
doświadczenia

7a.
ci których zostawiłem
w ósmej
galaktyce niecierpliwą
się moją
nieobecnością ostatnia spadająca
gwiazda każe mi
podnieść głowę w środku
jesieni spakować podręczny
bagaż pozbieranych
byle gdzie idealów
tę odrobinę człowieka
ocenię zapewne jako
niewystarczającą wielkie
literę małych
nazwisk przestąpię
na chwilę niespełnioną
misję ile czasu
upłynie zanim będę
na tyle silny by podnieść
się z klęczek do
pozycji wyprostowanej zanim
spadnie
gwiazda ile gwiazd musi
spaść

Mirosław Muła

* * *

I kiedy policzysz
nagie usta

otwierane przez kaleczone wargi
zobaczysz braki w ich ułożeniu

chowając się jak wybrakowane
buty

Postąpisz krok naprzód
widząc w tym sposób na
wyprowadzenie
Przyśpieszysz

MIRÓ

Idę na pogrzeb w czarnej długiej
pochylonej do dołu szacie
śmieję się dławieni własnym ja
kończę dziś ostatni swój dzień
przechodzę do grupy obojętnych

Marek Pietrzela

BOHATER

Kret poszukiwacz wiecznej ciemności
idealista wychodzi na słońce
postrzelony blaskiem
próbuję zagrzebać światło
wierzy że znajdzie swoje przeznaczenie
Całuję go w futerko i czuję zapach
tchórza

Michał Sokółowski

ŚWIECA

Posądzona o herezję
czeka cierpliwie na egzekucję
skostniała z zimna
zapomniała że ma knot
po którym mogłaby uciec

Wbita na świecznik
nie krzyczy

Zazwyczaj spala się
na odwróconym do góry dnem
stoiku

Lech Przychodzki

NA WYPADEK MIEOŚCI

teraz kiedy być może
nawiązałaś już dialog z moją
poprzednią osobą
pozostajesz tylko w sferze dotyku
jesteś w swoim milczeniu
zapowiedzią nocy
chwilką kiedy nawet strach
przystaje niepewny
czy nie zgubił drogi po raz wtóry
na rozchwianej gałęzi wiatru
nie widzę twojej twarzy

OD TRZECH wieczorów zasy-
piał z trudem — za sprawą
trzydziestoletniego serialu TV
„Bracia Karamazow”. Niejeden
raz widziałam inscenizację i ekraniza-
cję arcydzieła Dostojewskiego, żad-
na nie wstrząsnęła mną do takiego
stopnia.

Dziś znalazłam się w saloniku pra-
wie sam na sam z telewizorem, więk-
szość turnusowych mieszkańców Domu
Litfonda (p. nr 17 „Kamery”) praw-
dopodobnie oglądała w swoim czasie
tę pracę Iwana Pyrjewa, ostatnią
przed jego śmiercią. Korzystam z do-
brodziejstwa telerecordingu.

Co za mistrzostwo! Od razu, na
wstępie, mocnym uderzeniem. Jest
monstrualna scena zatargu rodzinnego
przed obliczem świątobliwego Zosi-
my. Michał Włjanow osiągnął szczyty
wirtuozerii w przekazie cynicznego
kabotyństwa starego lubieżnika Flo-
dora. W ogóle nie sposób chyba traf-
niej wydobyc z dzieła powieściowego
najistotniejszych elementów. Kun-
sztownie podniósł reżyser rangę inte-
lektualną Smierdiakowa, tego prze-
cie Karamazowa z nieprawego łoża.
Wystarczył drobny pozornie zabieg:
stuszowanie lokajskiej chępliwości
w złotych do pokojówki. Przed-
śmiertna rozmowa z Iwanem jest
majstersztykiem, zarówno jak scena
Gruszeńki i Katarzyny w części
pierwszej.

Duszno. Wychodzę na moją weran-
dę. Subtelny zapach wolno stygną-
cego gąszczy parkowego. W oddali czu-
ją światła nadbrzeża. Gdzieś w są-
siedztwie pieski rozszczękały się na
parę głosów. Usiłuję wyrwać myśl ze
świeżego jeszcze opętania wizyjnego.
Wykonajmy czym prędzej salto myś-
lowe. Z braku pastylki relanium...
Wiem — powspominam sobie o czerw-
cowym warszawskim Kongresie Mię-
dzynarodowego Stowarzyszenia Kryty-
ków Teatralnych. No, nie chcę przez
to powiedzieć, że był nasenny. Ale po-
rywający też nie był. Dlaczego?

Otóż owa Association Internationale
des Critiques de Théâtre, organizacja
o długoletnich zasługach, wydaje cen-
ny biuletyn w trzech językach. Mia-
łam właśnie sposobność dowiedzieć się
z jego numeru 7, że zeszłoroczne ko-
lokwiwm AICT we Florencji zostało
poświęcone teatrom azjatyckim. Deli-
berowano np. nad takimi rzeczami, jak
komunikatywność mimiczna, kody,
wartości lingwistyczne, abstrakcja, ge-
stykulacja w realizmie, droga od ry-
tuału do racjonalizmu, polityczne i
społeczne wykorzystywanie tradycji itd.
itp. To mi tematyka do pozadrosz-
czenia. Tymczasem przedmiotem o-
brad bieżącego kongresu AICT miały
być: stan i zadania krytyki wobec
współczesnego teatru oraz problem
kształcenia przyszłych krytyków
teatralnych.

Stan obecny krytyki teatralnej!
Któż z uczestników wspomnianego
kongresu nie znalazł tego stanu?

Swego czasu krążył w niemieckich
kołach uniwersyteckich niewinny
żart: Ein ordentlicher Professor
macht nichts ausserordentliches, ein
ausserordentlicher Professor macht
nichts ordentlich. Można by strawe-
stować to powiedzonko na użytek
krytyki... krytyki teatralnej (oczywi-
ście unikając przesadnej generalizacji),
boć nierzadko zdarza się krytykom-
impresjonistom poprzestawać na włas-
nym widzimisię, a z drugiej strony
— czyż wielu młodych doktorów tea-
tologii potrafi dźwigać bagaż świe-
żo nabytej wiedzy nie przytłaczając
nią czytelnika?

Potrzeba kształcenia przyszłych
krytyków jest aksjomatem, więc zno-
wuż — o czym tu mówić na kongre-
sie, żadna uchwała nie przyczyni się
do stworzenia kadry krytyków, któ-

MARZENIE O IDEALE

GERARD WINSTANLEY jako utopista
i prekursor ruchu socjalistycznego w
Anglii — oto główny problem książki
Romana Tokarczyka, naukowca z lu-
belskiego UMCS, wydanej nakładem „Wi-
edzy Powszechnej” w znanej i cenionej serii
„Myśli i ludzie”.
W historii doktryn politycznych Winstanley
zapisał się jako ideolog i duchowy przywód-
ca ruchu konaczy, zrodzonego podczas re-
wolucji burżuazyjnej w Anglii; dla Tokar-
czyka jest on ponadto ledwym z istotnych
ogniw w długotrwałym procesie kształtowa-
nia się myśli socjalistycznej. W związku z
tym doktryna społeczna Winstanleya jest

ostateczny termin przekazania inwestycji — na 15 lipca br. 180 malarzy miało 1 września rozpocząć zajęcia w tym przedszkolu, władze oświatowe bowiem dokonały rekrutacji.

28 sierpnia byłem na tej budowie wraz z kierownikiem Wydziału Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Lublinie, Gustawem Surmaczem. Ostatnie prace wykończeniowe jeszcze trwały, kierownik budowy i majstrowie obiecali ukończenie robót za dwa dni, więc na sobotę 30 sierpnia, i było zupełnie jasne, że 1 września przedszkole nie zostanie otwarte, ponieważ tego właśnie dnia miała odbierać obiekt komisja, zaś wyposażenie takiego przedszkola przez użytkownika musi potrwać przynajmniej dwa tygodnie, choć szafy poczęto już zwozić!

1 września towarzyszyłem komisji odbioru. Przedstawiciele użytkownika (władz oświatowych) i inwestora zastępczego (LSM) — z jednej strony — oraz reprezentanci wykonawcy (LPB) — z drugiej strony — wykazywali wobec siebie absolutny brak zaufania. Podobno sam budynek można było już odebrać i zagospodarować w kwietniu, zaś roboty wokół budynku ukończono by do 30 sierpnia. Podobno nie można było odbierać i zagospodarowywać budynku, gdyż istniały w nim usterki, zresztą smutne doświadczenie uczy, że w przypadku niekompletnego odbioru obiektu nie można się u wykonawcy doprosić kontynuowania dalszych robót (przykład szkoły nr 38).

Ostatecznie komisja zakwestionowała przecieki instalacji wodnej w dwu pomieszczeniach, wykonanie pewnych prac na dachu, a przede wszystkim — stan stolarki okiennej (okna nieszczelne i ze szparami w ramach). Ustalono, że wszyscy panowie spotkają się ponownie 4 września. Do tego czasu wykonawcy mają zainstalować dodatkowe śruby w oknach, czyli naprawić partactwo producenta stolarki okiennej (podobno jakiegoś zakładu z Wołomina!). Stolarz z LZB wyraził przy tym wątpliwość, czy przy instalacji dodatkowych śrub nie będą „lecieć” szyby z okien w trakcie roboty. Jeden z prezesów LSM, Stanisław Sadowski, rugał ciężko kierownika bu-

dowy przedszkola w imieniu prasy, która stale o tej budowie pisze. Ponadto dowiedziałem się, że od kilku dni nadchodzi majstrów mamusię oraz tatusiowie i rugają ciężko budowlanców w imieniu swych nieletnich pociech. Zaczęło się robić straszno.

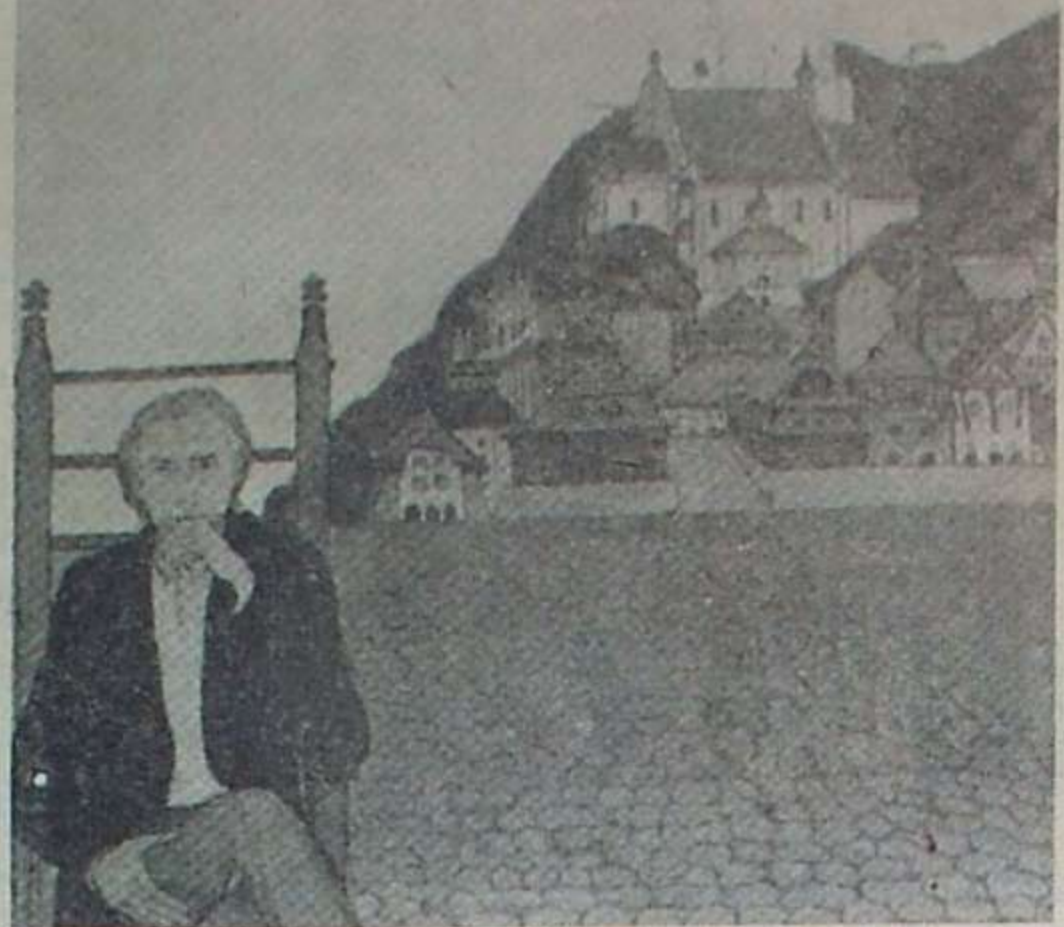
„Ostateczny” termin ukończenia budowy przedszkola w osiedlu im. Krasieńskiego opiewał na 15 sierpnia. 28 sierpnia byłem i na tej budowie. Roboty w pełnym toku! Podobno mają być zakończone 6 września, łącznie z zagospodarowaniem terenu. Osobiście wyrażam wątpliwość co do tego faktu. Teren wokół zupełnie w proszku. Stolarka w budynku jakby solidniejsza, ale dowiaduję się, że także ma prawo przeciekać. Zupełnie jak samochód marki „syrena”. Też „ma prawo” i cieknie. Wnęki na szafy krzywe, żadna szafa się w nie zmieścić nie zdoła. Też „ma prawo”? Kierownik budowy, choć człowiek młody, niejedno już widział i zachowuje stoicki spokój. Takie im przysyłają elementy budowlane — powiada.

Do tego przedszkola od 1 września także miało uczęszczać 180 dzieci. Władze oświatowe zdążyły jednak cofnąć zawiadomienia o początku zajęć przedszkolnych i dosłownie „upchnąć” maluchy w innych placówkach miasta. Na razie — miejmy nadzieję.

— Będąc kierownikiem Wydziału Oświaty Urzędu Miejskiego, oddaje się pan również zajęciom... inspektora nadzoru budowlanego, czy tak być powinno? — pytam raczej retorycznie Gustawa Surmacza, który towarzyszy moim wędrówkom.

— A cóż mam robić! Przestałem wierzyć w jakiegokolwiek terminy, ustalone przez budowlanych. Zwiędzam inwe tyje i sam widzę: wyjdzie, nie wyjdzie. Nie można dopuścić, żeby się powtórzyła sytuacja taka, jak z przedszkolem w osiedlu Piastowskim. Wykonawcy obiecują, ja zatrudniam personel dydaktyczny, muszę mu płacić, a mury przedszkola stoją puste. Niedawno miałem telefon od pewnego tatusia, który mnie pouczał, że moim obowiązkiem jest zapewnienie dzieciom miejsc w przedszkolach w odpowiednich osiedlach, że wpięram obietnicę, a potem nie dotrzymuję...

Niezależnie od kosztów czysto finansowych i źle adresowanych pre-



„Dylemat” — reprodukowany obraz Marii Cichorzewskiej — Drabik prezentowany był na poplenerowej wystawie „Kazimierz 74” w sali lubelskiego LiWA. W otwartej 29 sierpnia ekspozycji wzięło udział 22 artystów z różnych miast kraju a także kilku malarzy radzieckich i węgierskich. Plon imprezy okazał się dość skromny, kilka obrazów mogło przecież satysfakcjonować (m. in. płótna Juliusza Kleczka z Lublina i Wiesława Szamborskiego z Warszawy). Wartości pleneru nie można jednak mierzyć wyłącznie takim kryterium, mimo że przychodzi uznać je za najważniejsze. Ale czy można lekceważyć np. informacyjną funkcję pleneru? Do Kazimierza zapraszani są artyści z różnych ośrodków plastycznych, z zagranicy, co środowisku lubelskiemu stwarza dobrą okazję do wymiany poglądów i dyskusji z kolegami. Ponadto plener eksponuje specyficzny charakter Kazimierza: historycznego, bogatego w świetne zabytki miasta, do którego malarze i graficy jeździli już w XVIII wieku. Nieliczne początkowo wojaże przerosły się w latach osiemdziesiątych minionego stulecia w istne pielgrzymki artystyczne. Właśnie w Kazimierzu namalował najświetniejsze swe obrazy impresjonistyczne Józef Pankiewicz, który tutaj, w pobliżu zajazdu Rabinowicza, poznał Aleksandra Gierzyńskiego. Przypadkowy kontakt przerodził się wkrótce w przyjaźń wybitnych indywidualności naszej sztuki. Wszystkiego zatem dobrego plenerom kazimierskim.

K

POMYSŁ był doskonały. Tworzenie izb pamięci narodowej miało w efekcie ocalić przed zniszczeniem wiele przedmiotów i dokumentów świadczących o naszej przeszłości, najczęściej tej, związanej z ostatnią wojną światową. Placówki te miały ponadto wyrabiać i umacniać uczucia patriotyczne w powiązaniu z dumą lokalną, miały być czymś w rodzaju pomocy naukowych dla młodzieży szkół terenowych.

Gdy pomysł był świeży i atrakcyjny, wielu było kontrahentów w tworzeniu tych izb: wydziały czy referaty kultury dawnych rad narodowych, domy i kluby kultury, szkoły, przedsiębiorstwo „Ruch”, placówki ZBoWiD. Rychło jednak okazało się, że realizacja pomysłu przerosła pomysłodawców, jako że w ostatecznym rachunku trzeba było wygospodarować odpowiednio pomieszczenie, tylko na ten cel przeznaczone a także pieniądze na opalanie tego lokalu, sprząatanie w nim, bywało, że i na zakup jakiegos szczególnie cennego eksponatu.

No i powoli, jakby chyłkiem, kontrahenci zaczęli się wycofywać. Nie ze statystyk i wypinania piersi, ale z konkretnej pomocy. Na placu boju pozostały niemal wyłącznie szkoły, a właściwie niektórzy nauczyciele, najczęściej historycy czy poloniści, ale nie tylko. Nic za to od nikogo nie otrzymując, nawet pomocy merytorycznej w ocenie i opracowaniu zbiorów, których wartość niejednokrotnie przekracza granice wsi, gminy, często nawet dawnego powiatu.

Oto Miłków, duża wieś przy bocznej drodze z Siemienia do Parczew-

wa. Duża, ale widocznie w czymś pojęciu mało ważna, bo jej nazwy nie umieszczono na żadnym drogowskazie. Trzeba pytać kilkakrotnie mieszkańców rzadko rozrzuconych gospodarstw, aby wreszcie odnaleźć szkolny budynek. Jest nowy, boisko nawet niezupełnie wykończony, ale kilkadziesiąt pięknych róż stara się pokryć braki tzw. małej architektury. Jest drugi dzień roku szkolnego.

Na dużym korytarzu pierwszego piętra odnajduję pana Władysława Siwca, człowieka słusznej postury, z umazanymi rękami, bo właśnie osobiście przygotowuje stelaże na wystawę części swoich zbiorów w Parczewie.

Trochę podniecony niespodziewaną wizytą, najpierw przedstawia mnie dyrektorze szkoły, pani Krystynie Danilkiewicz, osobie życzliwej, jak się okazuje, jego pożytecznemu hobby. Ale czy to tylko hobby?

Oto duża klasa, wyglądająca nawet na średniej wielkości salę gimnastyczną, wypełniona stolami, gablotami i stelażami. Wszystko to wykonane przez pana Siwca przy czynnej pomocy dzieci, głównie w czasie zajęć praktycznych, ale nie tylko, bo także po lekcjach czy w niedzielę. No i rzecz najważniejsza: zbiory, zbiory. Głównie oryginały ale także reprodukcje fotograficzne co bardziej cennych, lub już kruchych ze starości dokumentów.

Na początku dokumenty, świadczące o okupacyjnej martyrologii miejscowych nauczycieli — miejsco-



IZBY PAMIĘCI

wych to znaczy nie tylko z Miłkowa, ale i z terenu dawnych powiatów: radzyńskiego i parczewskiego. Fotografie, akty zgonu, ankiety personalne, umowy o pracę, oświadczenia świadków...

Oto dokumenty dotyczące nauczyciela szkoły powszechnej (taka nazwa obowiązywała przed wojną i w czasie okupacji) w Parczewie — Stanisława Rentflejsza. Miał wtedy 38 lat i szedł sobie spokojnie jedną z ulic Parczewa, gdy spotkał swego dawnego ucznia, Rosnera, teraz miejscowego żandarma niemieckiego. Nie wiadomo, co spowodowało Rosnerem: pamięć o tym, że nauczyciel był gorącym patriotą, jakaś uraza za dwóje, czy po prostu chęć wykazania swojej władzy. Dość, że zastrzelił swego wychowawcę na ulicy. Działo się to 26 czerwca 1941 roku o godzinie 16. Zaczynała się piąta doba po napaści hitlerowców na ZSRR, gdy ludzie pokroju Rosnera czuli się wyjątkowo mocni.

Zaraz obok dokumentacja dotycząca nauczyciela szkoły podstawowej z Dobryni — Antoniego Zagajczyka. Powołany do wojska w czasie marcowej, częściowej i nieoficjalnej, mobilizacji 1939 roku, wrócił w swoje strony dopiero je-

sienią. Ukrywał się, ale po kilku miesiącach został zagarnięty wraz ze stu innymi osobami w czasie oblężenia we wsi Rudna. Opowiada mi o tym pani Genowefa Dziewulska, z domu Furman, teraz nauczycielka szkoły w Miłkowie, wówczas miała dziewczynka. Na własne oczy widziała wtedy egzekucję 56 mężczyzn, którym niczego konkretnego nie zarzucano poza tym, że byli Polakami. Rozstrzelano ich w pobliskim lesie nad brzegiem zbiorowej mogiły, którą sami sobie musieli wykopać. Miejscowy proboszcz, Ryczkowski, gdy jeszcze nie wiedziano jak się zakończy ta łapanka, ofiarował hitlerowskiemu zbirom swoje własne życie w zamian za zwolnienie pozostałych. Zginął razem z innymi. W roku 1945 dokonano uroczystej ekshumacji, szkielety przeniesiono na cmentarz, wzniesiono pomnik dla uczczenia pomordowanych.

Oto kilka, z kilkunastu posiadanych przez pana Siwca, egzemplarzy wydawanego przez Niemców miesięcznika dla polskiej młodzieży szkolnej „Ster”, który miał zastąpić skonfiskowane podręczniki do nauki języka polskiego i historii. Dalej kilkanaście egzemplarzy gadzinówki „Nowy Głos Lubelski”. I dosyć bo-

tensji ludzi przedszkola przed końcem staje pytanie: czy w 360 rod społecznego tytułu? A tutaj podał wy psujące cie mieszka Odpowiedź, budowlanej prawdziwa, dzieć, co on — Gener — więcej zad — sze wszyst — dy wybiera — znaczy sku — mieszkań, — materiałowy — nie spływa — nawala — ta.

— Wiedz — powie, ale — was nie no — względnie — możliwości. — W tym — szło, bo n — ści ubiegł — kwartał był — trudności — Dlatego tak — gimnastykę — tą ta sala — za krótko — istniała kon — nia, i to n — czwartym — Teraz już — oslon na o — wykonywał

gaty zbiór — „T — dzista”, — „Tyn Infor — nią”, „Dz — Oto jeden — nych w „J — literackim — niewątpliw — jakiejś kon — ście wiąz

Swoe nazwi — gdyż nazw — Ze napraw — więc zmian — teraz ciesz — gdyż jest

Zaraz ob — wydanych — Obrony Pr — gazowej w — skrypcją P — Wcześniej — wzywa spó — nia „eskad — belskiej”. O — my tym w — zek, że w r — szym teren — blinem, czw — całkowicie

ARE KŁOPOTY- WY SOJUSZNIK

...nawet w obu
...się zajęcia
...nia — to powo-
...biężyły kosztem
...acji życiowych
...sztem kwasów
...owstają z tego
...przykłady, które
...e jedyne sprac-
...truwające ży-
...owych osiedli.
...stkiemu winni
...sta, nie zawsze
...ek warto wie-

...biorąc, jest
...ków. Nie zawy-
...wykonać i wte-
...niejsze zło, to
...wykonawstwie
...y brak ludzi i
...stal, kruszywo
...owo, transport
...dyrektor Fol-

...an dyrektor to
...a sytuacja dla
...inniście ją u-
...waniu swych
...ce się pogor-
...rabiać zaległo-
...dy to ostatni
...ewny i istniały
...na budowy.
...ie sprawa sali
...e nr 33. Zresz-
...aprojektowana,
...koszykówki za-
...rzeprojektowa-
...zaskoczyło w
...ległego roku.
...wa, brak tylko
...npy, będziemy

— A przedszkole na osiedlu Pia-
stowskim?

W pobliżu przedszkola powstawał zespół garaży, to nam utrudniało uporządkowanie terenu przedszkolnego, a użytkownik nie chciał odbierać samego budynku, bez ogrodzenia na przykład. Musieliśmy poczekać na garaże.

— Myślę, że przedszkole jest pilniejsze niż garaże, choć sam trzymam samochód pod gołym niebem, a córka już chodzi do szkoły. Nie zawsze zresztą tak się spieszyliście z przekazaniem garaży. Słyszałem, że na osiedlu Sienkiewicza ponad 50 prawie gotowych boksów stoi od dwu lat, ludzie powpłacali pieniądze i nic! A tymczasem ktoś tam podobno „wynajmuje” garaże nieuprawnionym użytkownikom!

— Na 54 boksy zajętych jest 28. W niektórych są magazyny naszego przedsiębiorstwa i podwykonawców, w niektórych garażują nasi pracownicy, w niektórych zaś, być może, ktoś w ogóle nieuprawniony. Nie potrafię tego rozróżnić. Zabieramy się i do tej sprawy.

— Czy musi być reguła, że po zejściu z budowy zostawiacie za sobą krajobraz księżycowy?

— Istnieją dysproporcje w czasie. Mieszkańców budujemy krótko i intensywnie, bo tak się wcale! Polisce buduje i takie są potrzeby chwili. Ponieważ jednak mamy ograniczoną ilość środków, które musimy szybko przerzucać na inne budowy, nie nadążamy z usuwaniem najrozmaitszych szop i innego złomu budowlanego, na czym cierpią szczególnie roboty drogowe wewnątrz osiedli.

— Panie dyrektorze, można by uznać pańskie generalne argumenty, choć o szczegółowej inwestycji można by się też pospieszać. Ale idzie o co innego: przedsiębiorstwo ma swoje możliwości, również ograniczenia wynikające z kłopotów z podwykonawcami. Po co więc szafować terminami, o których z góry się wie, że są nierealne? Nie lepiej powiedzieć: nie zrobimy, bo nie możemy! Wyjdzie na to samo, a uniknie się przynajmniej takich sytuacji, jak z przedszkolem na osiedlu Piastowskim? Uczciwa męska gra.

— Kiedy mnie te terminy samego dopingują, ja chcę kończyć jak najszybciej, bo przecież każdą ciągnącą się inwestycję trzeba nadzorować, ludzi trzymać. Sam wierzę w owe terminy, nie zawsze wychodzi, ale wiele zależy od możliwości dogadania się z inwestorem w sprawie sukcesywnego odbioru inwestycji. Czasem też nie wszystkich można zadowolić, bo naciski idą z najróżniejszych źródeł.

To, że naciski pochodzą z rozmaitych źródeł, nie byłoby wcale takie złe, byleby to nie były żądania sprzeczne. Jedni: jak nie zrobicie tych mieszkań ponad plan, to my was rozliczymy... Drudzy: jak będziecie robić te mieszkania ponad plan, a zaniebdacie usługi, to my was... W każdym razie nie może być tak, żeby doprowadzanie mieszkań do stanu używalności, porządkowanie terenu i budowa inwestycji towarzyszących trwały w nowych osiedlach latami. Zaś wysiłki mieszkańców, komitetów obwodowych i administracji osiedli sprowadzały się głównie do naprawy niesumienności budowlanych.

W tej batalii przybył ostatnio lokatorom nowy sprzymierzeniec — powołane w osiedlach partyjne grupy pracy terenowej. Miałem możliwość obserwowania prac takiej grupy w osiedlu Sienkiewicza. Członkami jej są aktywiści partyjni mieszkający w osiedlu, a przy tym na ogół ludzie sprawujący kierownicze stanowiska w naszym mieście. Na jednym z zebrań obecni byli również przedstawiciele partyjnych grup pracy terenowej z osiedla Piastowskiego i Krasińskiego, reprezentant LPB, zarządu LSM, przedstawiciele oddziałowych organizacji partyjnych.

Mówiło się więc nie tylko o sprawach jednego osiedla, i był to dobry grunt, na którym mogli porozumieć się wykonawcy, inwestorzy oraz użytkownicy. W sprawie bolączek L... terminów. W skład partyjnej grupy pracy terenowej osiedla Sienkiewicza wchodził aż trzech dziennikarzy, stąd interwencja prasowa jest jedną z form pomocy, udzielanej przez grupę organom samorządowym osiedla w kwestiach tak zwanych trudnych. To chyba z tytułu przynależności do tej grupy inspektor Surmacz tak pleczołowicie wizytuje inwestycje szkolne w osiedlu Sienkiewicza, choć nie tylko... Generalnie jednak partyjne grupy pracy terenowej, utrzymując stały kontakt z Komitetem Miejskim PZPR, są przede wszystkim sprawnym kanałem informacyjnym, za którego pośrednictwem miejska instancja partyjna dowiaduje się o społecznych problemach miasta, by móc potem podjąć skuteczne środki zaradcze.

„Podstawowym zadaniem partyjnej grupy pracy terenowej jest umocnienie partyjnego oddziaływania na aktywizację wszystkich instytucji i organizacji powołanych do zaspokajania społecznych potrzeb i rozwijania działalności w środowisku zamieszkania. Grupy pracy terenowej rozwijają masową pracę polityczną wśród mieszkańców, udzielają pomocy organom samorządu mieszkańców, radnym, dbają o właściwe funkcjonowanie ogniw organizacji społecznych, których są członkami” — powiada odpowiednio wytyczne KC PZPR.

— Swoją działalność zaplanowaliście prowadzić w czterech podstawowych kierunkach: problemy gospodarki komunalnej i budownictwa,

praca wśród młodzieży, kwestie prac społecznych na rzecz dzielnicy oraz sprawy zaopatrzenia i usług dla ludności. Tymczasem kiedy przystępuję się waszym naradom, widzę, że głównie zajmujecie się pierwszym kierunkiem, a w dodatku budowlani nie dotrzymują terminów, inwestycje idą opieszale. Jak zatem wygląda skuteczność działania? — zwracam się do Adama Samolińskiego, organizatora partyjnej grupy pracy terenowej w osiedlu Sienkiewicza.

— Musimy się głównie zajmować tymi sprawami, bo one ze społecznego punktu widzenia są w nowym osiedlu najbardziej palące i drażniące. Są realnymi potrzebami. A rezultaty wspólnych poczynań mamy już wcale pokaźne: zlikwidowano szosę przy ul. Skrzetuskiego i położono tam część nawierzchni, przy ul. Juranda zaczęto robić drogi, z dużej części osiedla zniknął gruz, obsiano trawniki. Powoli można już tutaj mieszkać w ludzkich warunkach. A w sprawie sali gimnastycznej i przedszkola to nie wiadomo, czy te inwestycje byłyby nawet w takim stanie, jak są obecnie, gdyby nie wspólne wysiłki organów samorządowych, administracji i grupy partyjnej osiedla.

Trudno nie być przekonanym takimi argumentami, jeśli idzie o bieżące potrzeby. Jak długo jednakowoż będzie trwała sytuacja, w której aktywność jednych wyrównuje indolencję i opieszalność drugich? Mówiąc o „drugich”, nie mam akurat na myśli konkretnego przedsiębiorstwa budowlanego (choć lubelskim budowlancom niejedną łatkę dalaoby się przyćpić) ale ogólniejszą sytuację w czworokącie: wykonawca — podwykonawca — producent materiałów budowlanych — zarządzanie. Marzy mi się bowiem moment, w którym usłyszałbym o atrakcyjnych formach pracy polityczno-kulturalnej wśród mieszkańców osiedli, o łwego rodzaju świetlicach i festynach ludowych, czynach społecznych, gdzie praca jednych nie byłaby niewieczona przez drugich. Takie są przecież główne zadania partyjnych grup pracy terenowej, a nie wielomiesięczne zabiegi o to, by zagospodarować 5 metrów ziemi pod oknem, na której porzucono stos żelastwa i gruzu!

Maciej Podgórski

DALEJ?

Jerzy Dostatni

prasy okupacyj-
...ności”, „Gwar-
...ęstwu”, „Biule-
...Żywią i bro-
...Szaniec” i inne.
...ków, zamieszcz-
...h”, miesięczniku
...Miecz i Plug”,
...erzony przeciw
...sobie, w podtek-
...terem:

zmienić przedko
Adolf Gówieńko.
...iało to brzydko,
...ł b. szybko,
...iany wynikiem,
...ówieńką Henry-
...kiem.

...ały kilku odez-
...nie przez Ligę
...szej i Przeciwi-
...z ogłoszoną sub-
...na dozbrojenie.
...wa z 1937 roku
...wa do ufundowa-
...otów Ziemi Lu-
...łosi dalej: „Ma-
...temu obowiąz-
...38 stanie na na-
...widniku pod Lu-
...koł w Polsce,
...wana z fundu-

szów LOPP, Szkoła Pilotów Cywilnych LOPP im. Marszałka Edwarda Rydza-Smigłego oraz wielkie lotnisko, które postawią Lublin w rzędzie miast europejskich. Budowa lotniska i Szkoły Pilotów została już rozpoczęta”. No cóż, warto dodać, że szkołę rzeczywiście uruchomiono, ale w sumie był to jeden barak i małe lotnisko dla samolotów sportowych.

Na korytarzu pierwszego piętra wielki napis: „Poznaj przeszłość własnego narodu a będziesz wiedzieć, jaką masz budować przyszłość”. A na wszystkich ścianach opracowane za szkłem różne zarządzenia, okólniki i wezwania niemieckich władz okupacyjnych do nauczycieli szkół polskich. Co za bogactwo materiału nie tylko dla historyków!

Na osobnej ścianie, na wprost schodów, dwie mapy dawnego powiatu parczewskiego, wykonane przez pana Siwca w wyniku jego poszukiwań i ustaleń. Jedna przedstawia sieć szkół oficjalnych w czasie okupacji, druga 25 ośrodków tajnego nauczania na poziomie podstawowym i średnim. Dwa kształciły nawet w poziomie wyższym — w Milanówku i Jabloniu. I zaraz obok lista nauczycieli zamordowanych na tym terenie w latach 1939—1944.

Obejmuje 23 nazwiska, w tym 9 tych, którzy zginęli w Oświęcimiu, a 4 w innych obozach koncentracyjnych.

Nie wymieniłem wszystkich znajdujących się w izbie pamięci w Miłkowie dokumentów — jest ich zbyt wiele. Część z nich potwierdza znane fakty, inne ujawniają dotychczas nieznaną, a stanowiące cenne uzupełnienie wiedzy o ponurych latach okupacji.

Pan Władysław Siwiec pochodzi ze wsi Jeleniec koło Łukowa, pracując nauczycielską rozpoczął tuż po wojnie w pobliskim Stanińcu, mając w osobistym dorobku okupacyjną maturę. Ale zaraz zabrał się do nauki własnej. Najpierw ukończył eksternistycznie dawne liceum pedagogiczne w Leśnej Podlaskiej, potem również eksternistycznie historię w Lublinie, napisał pracę magisterską na temat „Nauczyciele w powiecie parczewskim w latach ostatniej wojny”, teraz przygotowuje doktorat pracą „Rola inteligencji polskiej w Generalnej Guberni”. Od 17 lat jest w Miłkowie, ucząc historii, fizyki i zajęć praktycznych.

Praca magisterska wymagała wielu badań w terenie, wyjeżdżał więc często na rowerze, zbierając różne dokumenty, notując wspomnienia ludzi, wertując książki i broszury.

Ale jakoś nie myślał o systematycznym gromadzeniu. Wszystko zaczęło się, raczej przypadkiem, w zeszłym roku. Przechodził koło punktu skupu makulatury w Parczewie i zobaczył, że harcerze oddają dość pokaźne sterty różnych papierzyśków: to były właśnie dokumenty, które dzisiaj stanowią główne bogactwo izby pamięci w Miłkowie.

Magazynier punktu skupu ani słyszeć nie chciał o wydaniu tych papierów, które dla niego były tylko makulaturą. Po długich targach „makulaturę” zważono, a pan Siwiec w krótkim czasie zebrał identyczną ilość kilogramów prawdziwej makulatury, otrzymując w zamian owe dokumenty. Można tylko westchnąć, ile podobnych wartości przeszło na przemiał przez inne punkty skupu w ramach całkiem przecież pozytywnej akcji zbiórki makulatury...

Po wstępnym zapoznaniu się ze zdobyczą pan Siwiec szybko doszedł do wniosku, że poprzez uczniów będzie mógł zapewne uzupełnić swój zbiór o dalsze wartościowe pozycje. I nie pomylił się. Ale dzieci, penetrując w rodzinnych domach stryżniki, piwnice i stodoły, zaczęły także znosić różne inne przedmioty. Są więc, równo poukładane na półkach, krzemienne siekiarki sprzed (podobno) 4 tysięcy lat, stara broń, trzy żarna — w tym jedno jeszcze kamienne — zegar wykonany niemal całkowicie z drewna, kufel szklany z cynową pokrywą, metalowa matryca do pięcioletowania przesyłek z czasów Targowicy, autentyczny kaganek obok starych lamp, piemlecie mapy i atlasy szkolne, banknoty i monety z czasów carskich, międzywojenne i wojenne, także z innych państw, żołnierska kuchenka polowa z armii gen. Klebega itd. itd.

Prawdziwe muzeum w miniaturze, w pewnych fragmentach bogatsze od niejednej placówki oficjalnej, opatrzonej etatami i środkami na konserwację. Cale grono nauczycielskie wraz z dyrektorką zaraziło się chorobą zbieracką i wciąż przybywa coś nowego. Większość zbiorów znajduje się w szkole, ale część w prywatnym mieszkaniu pana Siwca. Warunki w szkole są dobre, może nawet zbyt dobre — ciepło, słonecznie, co nie zawsze sprzyja konserwacji dokumentów. Część metalową zbiorów pokrywa rdza, części drewniane próchnieją, nie wszystko nadaje się do wystawienia.

Kto pomoże upartemu, godnemu podziwu zbieraczowi z Miłkowa? Kto oceni rzeczywistość, naukową wartość dokumentów i innych zbiorów? Czy część z nich nie powinna znaleźć się w muzeum wojewódzkim w Białej Podlaskiej lub, po staremu w Lublinie? Kto ufunduje szkole odpowiedni sprzęt fotograficzny, aby zamiast oryginałów, które trzeba troskliwie zakonserwować, można było wystawić dobre reprodukcje?

No i jeszcze jedna sprawa. Delikatna, ale przecież konieczna do rozstrzygnięcia: kto jest prawnym właścicielem podobnych zbiorów? Pan Siwiec odżegnuje się od myśli, aby z kimkolwiek rozmawiać na temat „upłynienia” czegoś z miłkowskich eksponatów. Ale kto jest w stanie zaprzeczyć, że z podobnych zbiorów w innych miejscowościach, uzyskanych najczęściej drogą spontaniczną darowizną, nie nie trafiła na chłonny rynek handlu starociami?

Kamena str. 9

W LUBLINIE nastąpiła tak znaczna dezintegracja środowisk twórczych, że musi ona budzić zrozumiały niepokój. Powiem więcej, nie ma nawet spójni wewnątrz środowisk: literackiego, dziennikarskiego i plastycznego, na przykład. Nieco korzystniej kształtuje się ona wśród muzyków i aktorów, ale sprawa to nie tyle ludzkie dążenie do tego celu, lecz charakter zespolony prób i występów — jednoczesność przerw, które pozwalają gdzieś razem usiąść, choćby w klubie „Nora”, i wymienić poglądy nie tylko o sprawach dnia i chleba powszedniego. Od czasu do czasu, przy okazji plenerów i wernisarzy — spotykają się jeszcze artyści plastycy. W środowiskach literackim i dziennikarskim, poza statutowymi zebraniem, nie ma nawet i takich kontaktów.

XY nie wie, co napisał lub napisze YX, obaj z koleżki wiedzą może że XYZ wydała nowy tomik wierszy i powieści, pogratulują jej nawet, dodając kilka frazesów zapamiętanych z recenzji, ale po jej książce nie sięgną, na jej wieczór autorski w Muzeum im. J. Czechowicza nie pójdą. Pracowita autorka wie, że i oni znowu po latach coś wydali, że nowa książka miejscowego reportażysty pojawiła się w księgarniach, ale postąpi podobnie jak XY oraz YX, z pełną i satysfakcjonującą ją wzajemnością. Odczuwa się też pewną pobłażliwość dziennikarzy wobec literatów i odwrotnie, często nawet lekceważenie.

Lepsze byłyby ostre polemiki bezpośrednie w śmiesznym już od dawna klubie „Nora”, ostre

I wy sobie i my sobie...

pamflety i riposty w dziennikach i czasopismach, niż taka zastala woda, która przecież, jak na torfowisku, od czasu do czasu bulgoce, bo nieśmiało wydobywa się z niej uwieczony tlen. Już Wyspiański w „Weselu” wołał: „I wy sobie i my sobie każdy sobie rzepkę skrobie!” Nie inaczej jest właśnie u nas, w Lublinie. Jeden twórca wcale, albo mało interesuje się wytworami myśli i talentu drugiego, nawet tego, z którym czasem przyjdzie mu wódkę wypić, pragnie jednak, by znano i uznawano wszystko, co on sam daje ludzkości. Pisarze nie chodzą na wystawy artystów plastyków, premiery teatralne i filharmonijne, czy operetkowe. Dziennikarze chodzą na te wszystkie imprezy, ale tylko ci, których wysyła się tam służbowo, aby mogli napisać kilka słów. Trwa następnie odważymianie się jednostek jednostkom, środowisk środowiskom, odważymianiem charakteryzuje się całym brakiem zainteresowania.

Jedną z pasji badawczych Artura Sandauera w ostatnich latach jest problem wzajemnego przenikania się sztuk, stąd m.in. jego stała obecność i udział w dysputach zielonogórskiego „Złotego Grona”, organizowanego co dwa lata dla artystów całego kraju. Będzie oczywistym truizmem, jeśli przypomnę, jak wielki wpływ miała muzyka na twórczość największych nawet poetów i jak literatura zapładniała twórczo malarzy i kompozytorów, jak wszystkie te dyscypliny podnoszą kulturę słowa w prasie etc. Ileż to wzajemnie mogłyby sobie i odbiorcom dać literaci, dziennikarze, historycy sztuki, krytycy, aktorzy, muzycy, śpiewacy, kompozytorzy, gdyby jednak odrodzili, w uspołecznionej formie naturalnie, tradycje wzajemnego poznawania tego co robimy, dyskusowania o tym życzliwie, ale bezkompromisowo. Być może zanikałaby stopniowo zaściankowość i prawa partykularne z taką lubością tu u nas pielęgnowane: — Ty mnie nie rusz, ja cię nie ruszę! I spokojnie będziemy żyli.

Zgoda jest potrzebna, konieczna nawet, ale nie za taką cenę, ona w tych warunkach nie przedstawia żadnej wartości. Czasem zastaną wodę lekko, z przeproszającym dygiem, zamąci zespół kabaretu „Czart” i to wszystko a więc za mało. Samozadowolenie narasta u coraz większej liczby twórców, a jest ono tym groźniejsze, że nie konfrontowane z rzetelną wiedzą o tym, co robią inni — także w równie pozytywny sposób myślący o sobie. Bo i gdzie jest taka konfrontacja możliwa, skoro „Nora” stała się norą rzeczywistości, choć odremontowana, jest tylko miejscem szybkiego zjedzenia drugiego śniadania i dorocznego balu sylwestrowego. To wszystko. Gdzie te czasy kiedy było tam mniej schładnie, a jednak rojno, gwaro i spornie, ludziom tych wszystkich wymienionych dziedzin artystycznych działania o coś chodziło? Czyżbyśmy już wszyscy czuli się mistrzami? Liście laurowe dziś zmieniły swoje znaczenie, najważniejsze mają w rosół.

Może mogłoby dojść do spotkania prezesów, albo nawet zarządów Związku Literatów Polskich, Związku Polskich Artystów Plastyków, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, Stowarzyszenia Historyków Sztuki? Na naszych imprezach możemy zasnąć rozczarowań, ale może stać się i tak, że niespodziewanie uczestniczyć będziemy w czymś niesłychanie pożytecznym dla całego środowiska.

Tadeusz Jasiński

NATURA NASZEJ OBECNOŚCI

Zygmunt Mikulski

JEDNYM z problemów zastanawiających każdego powieściopisarza jest niewątpliwie fikcja literacka. Fikcja literacka, a więc zmyślenie, a więc nieprawda oczywiście w sumie profitująca artystycznie, ale profitująca na daleką metę, per saldo artystycznej i filozoficznej wymowy, podczas gdy pod pióro już teraz ciśnie się tyle autentyku. Utwór literacki nie gra przecież teatrykiem marionetek przedstawionych w nim osób i wydarzeń, ale ostatecznym wnioskiem i nastrojem, więc wydaje się nieuzasadnione zamiar artystyczny przekładać na wymyślone perypetie po to, by następnie wyłuskiwać z nich myśl odrzucając zewnętrzną powłokę fabuły. Tak, powieść to coś podejrzanego.

Podejrzanego? Ale nie przesadzajmy twierdząc, że zmyślona rzeczywistość nie ma uroku. Jest to urok wzbogacenia, uzupełnienia, może niekiedy kompensacji, w każdym razie coś by zaczęło wysychać w literaturze, gdyby nie było w niej zdania takiego, jakie zostało wyśmiane przez Bretona w manifestie nadrealizmu, że „hrabina wyszła o piątą po południu”. Ja nie lubię fabuły, ty nie lubisz fabuły — tylko w takich kategoriach możemy tę sprawę roztrząsać, bo na szczęście literatury i tu nie ma przesadzających werdyktów.

Nie lubi również Maria Kuncewiczowa. Powiedzmy to z poprawką na niekategoryczność określeń krytycznych, ponieważ w ostatniej jej książce, w „Naturze” jest wiele elementów fabularnych. Ale właśnie elementów, natomiast jak i w „Fantomach”, nie występuje tam fabuła jako komponent zasadniczy, całościowy. Właśnie nie tylko to te dwie książki upodabnia. Spotkało się kiedyś sugestia, że „Fontomy” jako relacja o osobistych doznaniach będzie uzupełniona „Naturą” zawierającą próbę obiektywizacji świata autorki, co miało być wyrażone samymi tytułami książek. Tytuły istnieją już obydwu rzeczywiste, mimo to nie da się wyczuć żadnej różnicy w zamiarze, w tonacji, w tonacji między obiema pozycjami. „Natura” to drugi tom „Fantomów”. Ma to swoją wymowę. Pisarka w ten sposób dowodzi, że najbardziej rzeczywiste dla człowieka są jego osobiste doznania, najbardziej obiektywnymi — jego subiektywne stany.

Jednakże nie ma w tym egocentryzmu ani narcystycznego pochylania się nad własną osobą. Kuncewiczowa nie tylko wyraźnie rozróżnia tylko siebie inną w zależności od wieku, od sytuacji życiowej i historycznej, w związku z czym mamy do czynienia z jakimś ja autorskim w liczbie mnogiej, ale co ważniejsze: samą siebie traktuje bardziej jako przedmiot obserwacji niż przedmiot konfesji. Oczywiście, nie cierpi na tym „cienkość” psychologicznych wnikliwość, co już nie jest rezultatem samej wierności założeniu, ale godnej podziwu sprawności pióra, które nie staje bezradne wobec nastrojów bardzo ulotnych, wobec zjawisk zarysowanych lekkim niuansiem.

Obserwowanie siebie z zewnątrz, a więc szczerze. To nie jest tak trudne pisząc coś w rodzaju autobiografii nie skłamać. Ostatecznie faktów godnych przemilczenia można nie przytoczyć. Ale tu chodzi o szczerze nie jako partnera wewnętrznej cenzury, ale o szczerze jako kategorię artystyczną. Szczerem być jest trudno. Potrzeba wielkiego kunsztu introspekcji, by pisać o sobie przy nieść stwierdzenia znaczące dla kogoś innego, nie popaść w pruderyjną skromność ani zamaskowaną bufonadę, dać wiarę treści ludzkiej narzędziem co chwila narażonym na ześlizg w stronę solipsyzmu. Książka Kuncewiczowej to potrafi, dlatego w jej przedmiocie mamy do czynienia z dziełem filozoficznym, które się czyta tak, jak zostało napisane: z pasją. Jest osobliwością tej prozy, że zrezygnowawszy z anegdoty, opierając się prawie wyłącznie na psychologicznej analizie i filozoficznym rozważaniu osiąga atrakcyjność powieści o żywym sensacyjnym nerwie.

Pasja życia, pełnia życia. Tak, ale nie uparta pogon za umykającym błyskiem, lecz postawa kontemplacyjnej bierności jest odpowiedzią na porywający urok świata. Z tym, że ta bierność jest bardzo skupiona, bardzo gotowa i przez to — czynna. Kuncewiczowa nie „wychodzi na przeciw”, Kuncewiczowa się dziwi i to zdumienie ma moc wyprawy. (Zresztą w podróże jej życiorys jest bogaty niebywale.) Jest to zdumienie poetyckie, a nie — użyjmy wyrażenia — „normatywne”. Czasem nawet za bardzo w zgodzie z prawami obserwowanego świata, zanadto aprobowane. Jest w „Naturze” taka scena, jedna zresztą z pisarsko najlepszych: dziewczynka się huśta, dziewczynka jest upojona huśtawką, dziewczynka zdobywa się na małą akrobację, później się chowa pod krzak i nadziewa na patyk liszkę. Autorka i w tym widzi prawidłowość toczącego się światka. No nie, ja bym tej smarkatej dał po łapie.

Wspomniane już bogactwo życiorysu pod względem podróży sprawia, że autobiograficzna „Natura” to strój arlekinia uszyty z klimatów, miast, postaci, faktów, powiatań i rozstań. Ale strój arlekinia tylko ze względu na bogactwo materiału, bo te wszystkie kawałki komponują się w całość niebywale harmonijną. Autorka ma punkt widzenia i nigdy, dla żadnego przedmiotu go nie opuszcza. Co najwyżej przedmiot nie mieści się w polu widzenia i wtedy nie ma opisu. Ale zauważmy jak bardzo ci wszyscy ministrowie i ambasadrowie są narażeni na rentgen pisarki, a jak mało zachowują ze swej oficjalnej sztywności. Nie, Kuncewiczowa autorką powieści politycznej nie zostanie nigdy. Chyba że za powieść historyczną uznamy perypetie obywatela świata, a więc jednostki, której statusu prawnego nie udało się ustanowić ani jej, Einsteinowi, Russellowi, Biełstey'owi, Wilderowi i wielu innym.

Czy wszystko w tej książce to jota w jotę prawda? W tym znaczeniu empirycznym, bezpośrednim, najłatwiej sprawdzalnym? Możliwe, że nie. Obszar czasu wzięty pod retrospekcję jest spory, więc może jakiś tam promień słońca nie zupełnie tak się zalał w odbiciu wody jak zostało przedstawione. Ale to nie ważne, skoro tyle prawdy jest o przyrodzie w ogóle. Tyle celnych spostrzeżeń. Osobliwie (przepraszam za osobę czytelnika wepchniętą tu po raz drugi, ale tej książki nie można czytać okiem nieczym) jestem pełen aprobaty dla tej postawy humanistycznej, która w przyrodzie widzi to ludzkiej egzystencji, i to widzi w sposób przyznający tejże przyrodzie nie tylko możliwość serwowania młodych kartofli na wiosnę i „węgierek francuskich” jesienią, ale odniesienia dla filozoficznych intelektualnych i estetycznych kategorii człowieczych. Jest bogaty wewnętrznie ktoś, kto potrafi nie znudzić się z listkiem, kto zdobędzie się na milczącą pogawędkę z leśnym strumieniem.

Jest jeszcze jedna osobliwość „Natury” godna uwagi i podkreślenia: spistość. Ten spacer po dość przypadkowych, bo nie ułożonych kompozycyjnie, nie zawsze też podporządkowanych chronologii tematach ma wszelkie dane rozpaść się na szereg oddzielnych scenek. Tymczasem nie rozpada się, mimo że autorka wydaje się o to nie dbać. Nie rozpada się, bo zawsze wyczuwana jest jej serdeczna obecność przypisana każdemu, choćby najmniejszemu szczegółowi z tego wiecznie pasjonującego i coraz bardziej tajemniczego widowska, jakim jest świat. Jakim jest los człowieka w odwiecznych i wciąż zmiennych fluktach rzeczywistości.

Mądra książka. Mądra przez znaczenie zawartych w niej stwierdzeń, przez trafnie odczuta potrzebę dopełnienia postawy ściśle artystycznej śmiałością stanięcia przed obliczem sfinksa. A choć role są odwrócone, bo to nie sfinks zadaje pytania, jest satysfakcja i w tym, że właśnie człowiek wprawia w zastanowienie tę kobietę i lwa jednocześnie.

GARMONDEM

NIE tak dawno prasa codzienna doniosła, że w Związku Radzieckim sąd skazał na karę pozbawienia wolności pracowników zakładu przemysłowego, odpowiedzialnych za zanieczyszczenie rzeki ściekami. Może to właśnie jest metoda, kiedy grzywny nie skutkują. Nasz kodeks karny stanowi: „Kto spowoduje zdarzenie, które zagraża życiu lub zdrowiu ludzi albo mieniu w znacznych rozmiarach, mające postać eksplozji materiałów wybuchowych lub łatwopalnych albo innego gwałtownego wyzwolenia energii, rozpow-

szechniania się substancji trujących, duszących lub parzących albo promieniowania radioaktywnego, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3” (art. 136, § 1, pkt. 3). Działanie nieumyślne obwarowane jest karą pozbawienia wolności do lat 8. Rozmawiałem z kilkoma doświadczonymi prawnikami lubelskimi. W swej długoletniej praktyce żaden z nich nie zetknął się z przypadkiem pozbawienia wolności kogoś, kto przyczynił się do zatrucia środowiska ściekami przemysłowymi.

pod

NAZWIJ to jak chcesz, Sagittarius, ale nie mów mi, że zatoczyłem po prostu koło w przestrzeni i w czasie, by po roku znaleźć się tutaj. Cóż za malowniczy widok! Część kobiet w czerwonych szlafrokach i różnokolorowych piżamach siedzi sobie spokojnie w cieniu nie rozkwitłych jeszcze lip, inne przechadzają się po zwiedłej nieco trawie, jeszcze inne zmieszają się z odzianymi na biało specjalistkami od psychoterapii i pod ogołoconym z liści i kory sterującym jak wyrzut sumienia drzewem oczekują na przyjazd prezydenta Francji. Dwóch półnagich, spalonych na brąz chłopaków smuluje dach altany. W nagrzanym, bezwietrznym powietrzu, Sagittarius, kłębią się różne zapachy, słychać głosy ptaków i daleki śmiech rozlegający się z nieznanych ust. Jeden z kuzni ulokował się na kamieniu obok bramy, otworzył książeczkę do nabożeństwa i szepcząc słowa modlitwy baczy, by nie przekroczył jej nikt niepowołany. Odrzućwiec rozpościera na błękitnym niebie białą smugę, Kuziel przerywa swoje mo-

zbozchem wzgórza drodze. A na tym wzgórzu kwitnie sarniak. I czerwone maki. I w ogóle jest ono garbate. Zakończona jakąś dziwną konstrukcją drewnianą przypominającą ni to słup telegraficzny, ni to wieżę triangulacyjną Ruch jakiś, podniecenie, krzyk, wymachiwanie rękami. To od strony niewidocznego lotniska przemknęła wyasfaltowaną drogą kawalkada z prezydentem Francji. Ogólne rozczarowanie — przejechał w zamkniętym samochodzie. „Znowu — mruczy Traser na to — wyszło na moje. Ja już wiem, czego się od życia spodziewać, a czego nie”. Obeszło się bez sensacji. Tylko jeden z tych półnagich zachwiał się i spadł z dachu altany, ale nic mu się nie stało. Nazwij to jak chcesz, Sagittarius, ale nie mów mi o kole zatoczonym w przestrzeni i w czasie. Co innego — tamto, a co innego — to. Czuję to dokładnie wszystkimi porami skóry, poprzez które sączy się teraz gorące słońce. Czy w ogóle jest taka miara, która pozwalałaby mierzyć żywy czas istnienia, porównywać ze sobą zdarzenia, łączyć to, co niemożliwe do złą-

PRZYSIECKIE STAWY

Wojciech Roszewski

dły i wymachując dłonią uzbrojony w ową książeczkę woła: „Dopiero teraz, dopiero dzisiaj pomalowano niebo. Dopiero dzisiaj uporządkowałem z tą robotą”. Kurczy się, pogrąża znowu w modlitwie. Kucharz wystawia w stronę słońca ogromny, leżący się brzuch. „A pan, panie Traser — pytam — nie masz pan ochoty obejrzeć prezydenta?” Traser zaprzecza. Nie ma ochoty. I tak wszystko pokażą w telewizji. Smaruje kremem chude, pokryte tatuażem ramiona. Obraca się w stronę słońca, przymyka oczy, milknie. Dwóch takich raczej oczadziały próbuje kopać piłkę. Jeden usiłuje objąć schizofreniczkę o ładnych oczach, ale ta wymyka mu się z rąk. Ktoś trasuje szpadlem granice przysieckiego boiska, ktoś inny leniwie usiłuje wbić gwóźdź w deskę. Jak uosobienie śmierci, tak Sagittarius, pojawia się gość z kosą. Stary, przygarbiony, ale znający swój fach człowiek. Kosi wysoką trawę szerokimi, równymi zakosami. Wszyscy inni odsuwają się na bezpieczną odległość. Sledzą każdy jego ruch, nie mają pewności czy przypadkiem kogoś tą kosą nie trąci. Kwitnie czerwemcha. Nagły podmuch wiatru wlatcza w nozdrza jej odór. Leciwa kobieta z kosturem pojawia się nagle koło mnie, „A ty co, synku? Wypoczywasz? Leż, wypoczywaj, tylko nie zapomnij pierwszego iść po pensję. Pensja — ważna rzecz”. Właściwie, Sagittarius, nie dzieje się tu nic nadzwyczajnego. Gdyby rozwałkować ten obraz, niektóre jego kadry przypominałyby sielskie, dziewiętnastowieczne obrazy. Ach, tak! Ci najbardziej dotknięci zostali w pawilonach. Augustyn, stary i silny rybak, któremu odjęto mowę, a szarpał się tak, że trzeba go było przywieźć w sieciach. Spętanego niby jakąś wielką, wydobył prostą z morza rybę. Kustopko — agent kilku wywiadów, spec od opowieści o zastawiających na niego wszędzie podstępnych tajniaków, sympatyczny, otwarty gaduła z charakterystycznymi brudami nadającymi jego twarzy dzięk i nieokrzesany wygląd. I ten lisy jak kolano, młody osilek, Roman, czy jak mu tam. Postura japońskiego zapaśnika, ciężar, masa, wszystko zmieszane z bezradnością dziecka. Oni i wielu innych zostało w pawilonach. Sagittarius. Nie wolno mi jeszcze wychodzić, wygrzewać się i przekomarzać na słończku. Najgorzej spotkać tu znajomego. Takiego, którego poznałem przed rokiem. Wówczas ty i on chowacie wstydliwie głowy, wykonujecie jakieś skomplikowane manewry idąc po wspinającej się

czenia i dzielić to, co niemożliwe do rozdzielania? Nie, nie ma jeszcze takiej miary, chociaż wszyscy gorączkowo jej szukamy. Poza tym, stary, nie przyjechałem tutaj, by ogłaszać upadłość. Wręcz przeciwnie — by stanąć na nogach jeszcze mocniej niż dotychczas stałem. To konieczne, Sagittarius. W chwili, kiedy sam za sobą zamknąłem tu drzwi, kiedy dosłownie i w przenośni zapadła ta klamka, z jakiegoś niewidocznego radia rozległa się niezwykle słodka muzyka. Taka, która może ci towarzyszyć w trakcie nocy spędzanej z kobietą, która wyodrębnia się z potoku innych i utrwała w pamięci jakiegoś twojego wzruszenie, która również w pewnych wypadkach potrafi cię rozjątrzyć jak dzika bestia. Mnie rozjątrzyła. Znalazłem się na długim korytarzu wśród nieodgadnionego tłumu ludzi w piżamach przyglądających mi się z zaciekawieniem. Krzysztof niewiele ze mną rozmawiał, raczej od razu odesłał mnie do dyżurki, gdzie zajęły się mną siostry w białych fartuchach. Byłem jeszcze wstawiony, po głowie biegały mi rozstrzelone, nie tworząc żadnej całości myśli, w których wciąż z jakimś hardym uporem powtarzał się leitmotiv Przysieckich Stawów. Dlaczego właśnie tych Stawów? — nie mam pojęcia, Sagittarius. Miałem znacznie większe problemy i kłopoty, ale w świadomości utkwiły mi właśnie te Stawy. Niewielkie, ukryte w lesie, ozienione rzęsą, trudne właściwie do odszukania, ale doskonale widoczne z powietrza. Nie tak bardzo nawet wrysowane w mapę mojego życia, raczej obce, nie nasuwające żadnych szczegółowych wspomnień. I nazwane niezbyt mądrze: Przysieckie Stawy. W ogóle byłem przy nich tylko raz albo dwa. Raz z całą pewnością, bowiem kapałem się w jednym z nich i po dziś dzień pamiętam przenikliwy i jakby nieco zgnily zapach rozgrzanej wody. Także ową osiadającą na moich ramionach, nieszkodliwą rzesę. Rozebrałem się jakoś, włożyłem piżamę, wskazano mi łóżko, położyłem się na nim jak zwierzę spragnione tylko tego by ustała ta okropna, słodka muzyka, zamknąłem oczy i znowu pod powiekami odnalazłem Przysieckie Stawy. Uszeregowane jakby w trzy duże krople nieprzeźrystej wody w ciemnozielonym obramowaniu podmiejskich lasów okalających T. Przelatywałem nad nimi samolotem — to od wschodu, to od zachodu, to od północy, to o południa — i zawsze odnajdywałem je te same. Docierałem do nich piechotą lub na rowerze piaszczystymi



Rys. E. Ingot

duktami leśnymi i zawsze zagrażały mi drogę — nie mogłem już postąpić kroku dalej nie zanurzając się w nie. Skąd się wzięły? — myślałem. Czy stanowiły po prostu archaiczne, polodowcowe wytopisko, czy też ktoś w młodszych już nieco czasach usypał groble, przegradził nurt płynącego tu strumienia, splecił jego wody i wykorzystał je w tym celu, by obracały kamienne żarna? Ich dziejów mogłem się tylko domyślać, ich spokojne trwanie pośród lasów i przebiegające obok drogi prowadzącej aż do Cegielnika i Łążyńskich Łąk, widziałem. Śniły mi się natrętne i mściwe. Instynktownie pragnąłem innego snu, ale rzeczywistością był tylko ten. W pewnej chwili, Sagittarius, przekonałem się, że już nie śnię, ale nie ośmieliłem się otworzyć oczu. Usłyszałem ponownie tę słodką muzykę, uświadomiłem sobie gdzie jestem, ale Przysieckie Stawy nie znikły, nie rozwały się w dym. Spoczywały teraz wśród wysokiej, szeleszczącej i kaleczącej dłonie trawy, oglądałem je nie z powietrza, lecz z ziemi. powiększyły się niepomierne rozplynęły w mętnej i rozległej przestrzeni wodną. W lustrze tej przestrzeni odbijały się wizerunki sosen i chmur. Powoli, bez pośpiechu zzuwałem ubranie. Spokojnie wstępowałem w wodę, a ona rosła wokół mnie, pochłaniając coraz to nowe partie mojego ciała. Stopy, kolana, uda, genitalia, brzuch, klatkę piersiową, w której jeszcze pulsował oddech, szyję, brodę, usta, nos, oczy, czoło. Zabrakło mi oddechu, zielonkawa woda o zbutwiałym smaku, wdąrała się do moich płuc. Ktoś trącił mnie w ramię. Otworzyłem oczy. Stał nade mną człowiek o martwej, jakby wyciosanej w kamieniu twarzy. „Pięć lat. byłem górnikiem — mówił nie zwracając się zresztą do mnie — w końcu powiedzieli mi ci na dole,

że jednego trzeba zabić, a drugiego zjeść. I zabili inżyniera. To ja im powiedziałem na to, że lepiej by mnie zabił, bo taki inżynier sto lat musiał do różnych szkół chodzić, a ja jestem mniej od niego wart”.

Przyglądałem mu się, a on mówił i w dalszym ciągu nie wiedziałem czy do mnie, czy też do buszującej w polu jego widzenia zjawy. „Na dworcu w Katowicach rozmawiałem z Cyganami. Ale czy to z Cyganami człowiek się dogada? Taka Cyganka zaraz wróży i chce, żeby jej wepchnąć za biustonosz dwa dziesiątki złotych, a Cygan żąda od razu pięciuset za szczęście. Więc jechałem dalej długie godziny, aż mi jakiś kolejarz nakazał wysiąść z pociągu. Wysiadłem, ale to nie była moja wieś”. Słuchałem, Sagittarius, prostej i niewymyślonej opowieści człowieka szalonego, który w chwili przyływu świadomości zapragnął mi się zwierzyć i opowiadał mi teraz wszystko, co zapewne zdołał sobie ułożyć w trakcie długich dni i nocy milczenia, lęku, grozy i odpędzania przesładujących go w ciemnościach kopalnianych fantomów, słuchałem go i czulem, jak sączące się powoli słowa przywracają mi życie, budzą to, co jest może dlań najbardziej charakterystyczne — ciekawość. „Na koniec robiłem w kotlewni. Takiej dużej jak ten pawilon. Dwanaście pieców tam było, a właściwie dziesięć. Dwa były nieczynne. Rzuciłem węgiel na taśmociąg i miałem jeszcze czas, żeby kilka razy na dzień sobie zapalić. To była dobra robota. Przyszli jednak kiedyś taki profesor uczyć pa-

Dokończenie na str. 12

Kamena str. 11

tołą ewolucyjną, za pośrednictwem literatury popularno-naukowej. Wydałszy drugi tomik Biblioteki Z. Ch. pt. „Osmo września na Górze Chełmskiej w dniach triumfu i klęski” (Chełm 1946 s. 83); ten sam nakład rozszedł się w ciągu roku. Dalszy rozwój wypadków przerwał wydawanie. Czy Biblioteka posiada tomik nr 27?

Jednocześnie przesyłam b. rzadki zbir geograficzno-krajoznawczy pt. „Wśród wzgórz kredowych”, Chełm 1935, opracowany i wydany z okazji XX-lecie gimn. i lic. im. Stefana Czarnieckiego (Praca ta jest wycinkiem z publikacji pt. „W dwudziestą rocznicę 1915—1935. Księga Pamiątkowa Państwowego Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie. Chełm 1935 — przyp. W. M.). Jest trochę zniszczony ale lepszego nie posiadam, introligator zaś starowinkę odmłodzi. W 1933 r. wydałem ciekawą broszurkę pt. „Szlak wędrówkowy po powiecie chełmskim, dwutygodniowy, pieszy”. Nazywam go ciekawym, ponieważ taka dyspozycja znalazła później paru naśladowców, jak np. prof. Barus z Hrubieszowa (Marian Barus: Powiat hrubieszowski. Saki monograficzne. Hrubieszów 1939 — przyp. W. M.) i in. O tę książeczkę jest bardzo trudno.

Obecnie opracowałem „Przewodnik krajoznawczo-turystyczny po Ziemi Chełmskiej”, ale wydanie dzisiaj jest zależne od tysiąca i jednej okoliczności. (...)

Kazimierz Janczykowski

W swoim liście profesor pisze krótko i nie bez goryczy o pozostającym w maszynopisie, opracowanym przez siebie „Przewodniku po Ziemi Chełmskiej”. Któż bardziej kompetentny mógł opracować taki przewodnik i zrobić to lepiej od Janczykowskiego? To pytanie kieruję do ludzi, którzy sprawy opublikowania tego przewodnika do dziś nie mogą sfinalizować. Rozmawiałem niedawno z dr. Stanisławem Michalczykiem, znanym historykiem sztuki i autorem licznych opracowań poświęconych Chełmowi i Lubelszczyźnie. Znal maszynopis przewodnika, podkreślał jego ogromne zalety: rzetelną i faktograficzną informację dotyczącą regionu. Był zaskoczony trudnościami, które piętrzą się na drodze prowadzącej do opublikowania tej książki. Deklaruje od dawna i nie jednej osobie uzupełnienie informacji turystyczno-krajoznawczych o dokumentację naukową w zakresie historii sztuki regionu. Propozycja trafia w próżnię.

Janczykowski, popełniając ogromną nieostrożność, swoje prace „wystukiwał” na maszynie często tylko w jednym egzemplarzu — bez kopii! Czas nieubłaganie więc zaciera ostatnie ślady jego działalności publicystycznej. Szkoda, że nikt kompetentny nie zabezpieczył dotychczas jego maszynopisów, wśród których są m. in. wspomnieniowe. Obawiam się, że mogą ulec zniszczeniu. Byłaby to niepożądana strata dla kultury regionu.

Waldemar Michalski

Okno -licze -sztuki -ki

Dziwne okno

JASNOWIDZOWIE otrzymali wsparcie nauki, o czym świadczą m. in. liczne publikacje fachowców w czasopiśmie literackich i kulturalnych, w których próbuje się racjonalizować sprawę. Wydaje się przy tym, że zaciekawienie profesorów i docentów zjawiskami typu „psi” jest pochodną ogólniejszego procesu, który ogarnął ludzi całkiem zwyczajnych. Jakby stracili oni zaufanie do metody szkiełka i oka, coraz częściej dobierając się do świata przy pomocy instynktu i wyobraźni. Szczególnie już prowokacyjnie demonstrują tę orientację artyści, nawet ci, którzy jeszcze kilka lat temu uczestniczyli w przeróżnych spotkaniach i sympozjach „plastyków i naukowców”. Te poży-

teczne skądinąd imprezy nawiedzano wówczas tłumnie, szcząc się udziałem w posiedzeniach „rad programowych i teoretycznych”. Równocześnie z tą scjentyfikacją sztuki pasze gloszono — wystarczająco często, aby o tym mówić — rychły koniec, śmieć beznadziejną obrazu sztalugowego. Podobno okazał się środkiem zbyt „cichym” i jakoś nieprzystawalnym do „skomplikowania czasów dzisiejszych”. W pewnym momencie, przyznając, sam podzielałem takie poglądy.

Tymczasem obraz przetrwał, można powiedzieć, że czuje się dobrze, a nawet — coraz lepiej. Dlaczego?

Prawdy ogólne typu statystycznego (sprawozdawczego), na przykład, spadły ostatnio w cenę, bardziej interesuje nas „co o tym wszystkim” sądzi konkretny człowiek. A obraz, będąc wyjątkowo osobistym, indywidualnym środkiem wypowiedzi artystycznej, profilowanym własnoręcznie przez malarza, sygnalizuje jednostkowe, autorskie przekonania i emocje. Stąd właśnie, obserwowane od dłuższego czasu, odchylenie od produkowania „struktur przestrzennych” czy „przypadków statystycznie sprawdzalnych”, będących przede wszystkim wizualną ilustracją zasad fizyki i optyki oraz reguł matematycznych. Stąd właśnie renesans sztuki figuralnej, próbującej oznaczać ludzką rzeczywistość, bardziej złożoną, skomplikowaną i ważną, niż np. kosmiczne „zakrzywienie przestrzeni”. Stąd powrót do obrazu — dzieła intuicji.

W czasach wyraźnej rezerwy wobec metody „szkiełka i oka”, dyskredytowanej, jak pamiętamy, już przez romantyków, w młodej sztuce polskiej zaczynają się pojawiać nieoczekiwane motywy, można podejrzewać, że wpro-

wadzone bez udziału świadomości ich niedogodnych znaczeń. Spójrzmy na przykład na twórczość Zygmunta Czyży, która w sierpniu i wrześniu prezentowana była w Salonie Krytyków lubelskiego BWA.

Czyż, absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (1964), należy do pokolenia, które wyznaczało polski nurt nowej figuracji, niejednorodny, jak wiadomo, zawdzięczający co nieco Baconowi i pop-artowi, ostatecznie podlegający przecież bez trudu identyfikacji. Początkowo, wychowanek Taranczewskiego zajmował się przecież malarstwem, które mogło satysfakcjonować osoby uwarżliwione na kolorystyczno-fakturalne wartości obrazu. W rozległych pejzażach pojawiały się czasami drobne figurki ludzkie, anonimowe, nie wchodzące w żadną akcję, statyczne, co wyzwalalo w płótnach nastroj nieokreślonej nostalgii. Przy końcu lat sześćdziesiątych te sylwetki przekształciły się w duże postaci, prawie wypełniające powierzchnię obrazów; wówczas właśnie artysta stanął pewnie na terenie neofiguracji.

Niemal w tym samym momencie Czyż przeczcił się na linoryt barwny, szybko osiągając w tej technice wartościowe rezultaty, które zapewniły grafikowi udział w cenionych wystawach międzynarodowych i ogólnopolskich. Posługując się językiem plastycznym właściwym swej generacji — płaskie formy negatywowe wprowadzane jedna w drugą, konturowe eksponowanie postaci, kontrastowa kolorystyka — realizował przecież twórczość odrębną, skupioną wyrazem wyróżniającą się na tle dorobku rówieśników, którzy łatwy ekshibicjonizm podnosili często do rangi programu artystycznego. Natomiast Czyż bardzo dyskretnie sygnalizował sprawy elementarne i ważne ludzkiej egzystencji, prawie nigdy nie zamieniając uczestników reżyserowanych przez siebie przedstawień obrazowych w przedmiot godny pogardy czy, w najlepszym wypadku, litości. W jego twórczości jest coś, co można określić jako pokorę wobec tajemnicy istnienia, jako próbę, zrozumienia człowieka i towarzyszenia mu w trudnej grze z sobą samym.

I oto w takiej właśnie twórczości często występuje motyw okna: otwartego na dalekie nie oznaczone przestrzenie, i stanowiącego główny temat oraz najbardziej eksponowaną formę dzieła. W podobny sposób przedstawiano okno w europejskim malarstwie romantycznym, konkretyzując nadrzędną wówczas ideę kulturową: przewagi „rzeczywistości ducha” nad światem materialnego konkretnego, ideę przewagi poznania intuicyjnego nad racjonalnym.

Tak potraktowany motyw pojawia się także w twórczości innych młodych malarzy i grafików, np. u Niny Żelechowej — Aleksjuna. Co oczywiście nie może być jeszcze podstawą do szerszych uogólnień, ale w powiązaniu z faktem rozwoju młodej sztuki z naukami przyrodniczymi i techniką — daje od myślenia.

IJK



tam grany, poziom inscenizacji i reżyserii — wszystko to stawało się wzorem dla trup wędrownych. Widownia żądała, ażeby na prowincji grano możliwie szybko te nowości, jakie wystawiano w Warszawie. Tymczasem „Rozmaitości” dawały „starzyzną, lichotę, farsę”. Wniosek był więc gotów — „to reżyser warszawski demoralizuje prowincjonalną publiczność, a nie my, owszem, gdyby nie nasze zabiegi, najlepsze sztuki polskich dramatów nie byłyby znane”. W stwierdzeniu anonimowego dyrektora nie było cienia przesady; najlepsze sztuki polskich autorów współczesnych (m. in. „Pan Damazy” i „Rozbitki” J. Blizińskiego, „Grube ryby” M. Bałuckiego, „Artykuł 264” K. Zalewskiego) wystawione były najpierw przez zespoły wędrowne.

Na sytuację społeczną i materialną ówczesnego aktora można było spojrzeć także z innej strony; dojrzeć w niej posmak przygody, wolności i artystowskiej pogardy dla przeraźliwie zmaturalizowanego świata. Tę optymistyczną, z ducha dawnych sowizdrzałów i waganów wysnutą relację zawdzięczamy Władysławowi Krzyżanowskiemu, który nie miał poważniejszych osiągnięć na swoim koncie dyrektorskim (jako aktor zaś słynął z brzydoty), jednakże trudno odmówić mu poczucia humoru. Posłuchajmy jego rekomendacji:

Niżej podpisany, kapłan Melpomeny,
Któremu nie brak myśli, rytmów,
ani weny,
Dyrektor własnej trupy, choć miniaturowej,
Do przedstawień komedii, dramatów
gotowej,
A nawet do operet...
Choć tylko w personelu ośm osób
liczę,
Lecz w obecnej stagnacji mieć wię-
cej nie życzę.

Zespół Krzyżanowski, występujący zazwyczaj w małych miasteczkach, przez cały lipiec 1878 r. przebywał w Lubartowie dając sześć przedstawień, z których dochód był nadzwyczaj mierny. Po czterech przedstawieniach, gdy wpływy kasowe niewiele przewyższyły wydatki, dyrektor zarządził „sesję”, barwnie opisaną, po której zapadła typowa w owych latach decyzja:
Ha! nie ma innej rady, walmy benefisa.

Małe towarzystwo dramatyczne Krzyżanowski rozliczało się na zasadzie „działów”, w tej sytuacji więc przedstawienia benefisowe pomyslane były nie tylko jako okazja do poratowania kieszeni jednego aktora, co raczej — jako ułatwienie rozprowadzenia biletów, gdyż utartym zwyczajem benefisant miał prawo udać się z biletami do prywatnych mieszkań i tam pod prośbą, czasem i groźbą, zyskiwał dla Melpomeny opornych zwolenników. Pierwszy benefis przypadł w udziale

dyrektorowi. Krzyżanowski wynajął wóz konny i ruszył w drogę do okolicznych dworców ziemiańskich.

Półtora dnia jechałem, ale w rezultacie,
W kieszeni była figa!... figa, panie bracie,
Bo ledwo kilku szlachty z mąką w e-
sł! zjechałem,
Com zebrał za bilety, na koszt wy-
datem.

W tej sytuacji ratować się należało nieproszoną wizytą w hrabiowskim pałacu. Jakoż ośmiem wiorst od Lubartowa, w Kozłowie, mieściła się rezydencja hr. Zamoyskiego, w której Krzyżanowski wraz z żoną zostali życzliwie przyjęci i gdzie aktor na widok hrabiowskiego oblicza oddał się melancholijnym rozmyśleniom:
Ja tyle razy hrabią, księciem, kró-
lem byłem,
A jeszcze tego szczęścia co on, nie
użyłem.

W Kozłowie znajdował się doskonale zachowany i wyposażony teatr dworski z końca XVIII wieku. Zespół Krzyżanowski dał więc na życzenie pana domu jedno przedstawienie dla oficjalistów i okolicznej ziemiaństwa. Tak szczęśliwym finałem uwieńczone została owa kwesta biednego dyrektora.

W liście Krzyżanowskiemu znajdujemy ciekawą, dla historyków teatru wręcz cenny, opis teatru w Kozłowie (wyposażenia sceny, oświe-

lenia, malowideł ściennych widowni), którego to materiału z uwagi na szczupłość miejsca nie możemy tutaj wykorzystać.

Na koniec zapytajmy, co mimo tak ciężkich warunków materialnych (brak subwencji państwowych a nawet dostatecznego zrozumienia znaczenia teatru polskiego przez rodzime społeczeństwo) sprawiło, że teatr ten przez cały okres niewoli istniał nie tylko w Warszawie, lecz także na głębokiej prowincji, i rozwijał się, boć przecież z tych teatrów wędrownych wyszły największe sławy XIX-wiecznego aktorstwa, z Janem Królikowskim i Wincentym Rapackim na czele. Odpowiedzi jest wiele, ale chyba najważniejsze dadzą się sprowadzić do dwóch zasadniczych: 1) teatr wędrowny (nigdy, ani przedtem ani potem, tak bujnie nie rozwinięty) był w owej epoce krzewicielem polskości, mowy ojczystej nawet wtedy, gdy dykcja sporej liczby aktorów daleka była od poprawności; 2) aktorzy, owi wiecznie niedożywieni ludzie, nieśli kult sztuki (świadomość, że są artystami, była dla nich ważnym bodźcem do przetrwania), dawali rozrywkę i wytchnienie, przypominali wreszcie, że nie samym chlebem żyje człowiek.

Stefan Kruk

Kamena str. 13

